

umiała wydobyc się z ram egoizmu i stawać się w większym lub mniejszym stopniu pionierem idei międzynarodowej (wystąpienia przedstawicieli polskich w ówczesnej Lidze Narodów — na Soborach).

Jakże smutno, kiedy dziś znaczenie idei międzynarodowych zostało we wstępnym artykule poczynnego czasopisma polskiego zredukowane do roli funkcjonariusza egoizmu narodowego. Można wątpić, czy ludzie o takich poglądach byłoby rzecznikami umowy w Krewie lub Zborowie i można przypuszczać, że byłoby oni przeciwnikami dowództwa Witolda pod Grunwaldem, lub powiększenia liczby senatorów ukraińskich.

Genezis z Ducha

Odmawiając spirytualizmowi lub tradycjonalizmowi przywileju wzięcia w pacht dzieł i życia ludzkiego, mamy swoje własne ideały. Czerpiemy je, kształtujemy i rozwijamy z doświadczeń własnych i cudzych. W Polsce, niestety, doświadczenia poprzednich pokoleń często są skrywane. Chociaż więc naprzykład wszystkie, nawet wieszczkarskie utwory trzech wieszczów zyskały u nas przesadne znaczenie, to jednak nie cieszy się łaską krytyków i wydawców oraz w antologiach i wypisach nie łatwo spotkać „Genezis z Ducha”. A właśnie tu wznosi się wyobraźnia Słowackiego wysoko na awangardowe szczyty ogólnoludzkiej syntezy naukowej. Słowacki uskrzydla poczwarnie ze jego czasów hipotezy uczonych i wskazuje w genialnych rzutach na tę prawa ewolucji świata organicznego, które dopiero znacznie później i mniej jasno sformułowała nauka. Idealistyczna forma ujęcia tych praw sprawia, że trudno niewiele fachowych przyrodników ma odwagę i ochotę postawić wizję poety w jednym szeregu ze studiami naukowymi (Ostatnio zrobił tak prof. U. J. Szyszkowski). Z drugiej zaś strony przyrodniczy temat „Genezis z Ducha” właśnie odstręcza od niej krytyków literackich i idealistów.

Przywrócić należy miejsce w dziejach myśli polskiej temu utworowi Słowackiego, przetłumaczyć go na wszystkie języki, to wzbogacić niezmiernie wkład polski do ogólnoludzkiej skarbnicy. Idea Słowackiego, oparta na wnikliwej obserwacji, spotęgowanej darem intuicji, polega na stwierdzeniu, że osiągnięcie wyższych form życia łączy się z postradaniem czegoś z dotychczasowego stanu posiadania. W ramach czysto przyrodniczej ewolucji to wyzwalania się — kosztem ofiary — z niż-

szych form odbywa się nieświadomie. Przeniesione w obręb życia ludzkiego prawa przyrodnicze mogą przybierać charakter praw historycznych i jako takie mogą być świadomie stosowane. To jest istota różnicy między mrówką, pszczołą i człowiekiem.

Kto nie jest w stanie zrozumieć sensu historycznego, zawartego w „Genezis z Ducha”, ten naprawdę winien pozostawać w jarmie kokowrotu historii.

O jakie ofiary chodzi współcześnie? Odpowiedzieć na to pytanie, to znaczyłoby napisać program polityczny lub metafizyczne bzdury. Żadnej z obu tych rzeczy tutaj nie zrobię. Sformułowanie programu wtedy, gdy wszystko wokół pogrążone jest w chaosie, wymaga współdziałania wielu młodych i twórczych sił. Przed frazeologią odstrasza mnie przykład H. G. Wellsa lub Lwa Tołstoja, który w odpowiedzi na list Henryka Sienkiewicza, wyzywający go do podpisania protestu przeciw orgii wywłaszczzeń w zaborze pruskim, — napisał, że uczucia jego są po stronie wywłaszczycieli, a nie wywłaszczonych, bo ci, którzy ponoszą ofiarę, wnoszą się przez to na wyższy szczebel społeczeństwa, i żałować trzeba właśnie Prusaków, że stają się zwierzętami. Odpowiedź Tołstoja była też zrodzona z „ducha ofiary”, ale obłuda jej polega na tym, że nie była to ofiara, złożona własnym kosztem.

W historii nie chodzi w ogóle o ofiary cierpiętników, ani utopijne i idealistyczne, lecz o ofiary rozumne, polegające na samoograniczeniu egoizmu osobistego lub narodowego wtedy, gdy w walkach życiowych przynieść to może powodzenie. A dalej, na wyzwoleniu się z okowów talmudystycznych i uniknięciu ślepych ulic restauratorstwa.

Sięgają nawet do poetów amerykańskich sprzed 100 laty (Bryant), ażeby podtrzymać maksymy tradycjonalizmu. Ja ze swej strony przytoczę utwor poety, którego z pewnością nikt nie uważa za burzyciela tradycji:

Amerika du hast es besser
Als unser Kontinent, der alte,
Hast keine verfallene Schlösser
Und keine Bazaile!
Dich stört nicht im Innern
Zu lebendiger Zeit
Unnützlichers Erinnern
Und vergeblicher Streit.

Od czasu napisania tego wiersza minął z górą wiek. Ameryka przez ten czas wyposa-

żyła się w historyzm i może trudno byłoby dziś tak o nim napisać. Ale istota zagadnienia, które poruszył Goethe, czy straciła na aktualności?

O pożytku i szkodliwości historii dla życia

Wśród podejrzliwych krytyków wzbudziłem już z pewnością niezdrową ciekawość, dlaczego i poco poruszam te nieaktualne pozorne sprawy. Czyja się wśród mych wierszy kryje i czai intryga oraz czyj interes? Nie chcę nikomu pozostawiać wątpliwości pod tym względem. To Fryderyk Nietzsche popchnął mnie na tory rozważań „Vom Nutzen und Nachteil der Historie für das Leben”. Nie jestem wcale jego wyznawcą, ani żadnym w ogóle nietzscheanistą. Wielostronność i odwaga myśli, zawartych w jego pismach, tak bardzo przerastają komentatorów, usiłujących w skróconych zdaniach oddać treść wrzącego odwaru myśli Nietzschego, że śmiesznym jest dotąd, mimo, że zgórą pół wieku upłynęło od kiedy skończył on pisać, mówić o podjęciu przez kogokolwiek jego spuścizny.

Skoncentrowany odwar piczunu, maku i storczyków z nieubaganyim przekleństwem działa jak trująca ponęta rodzimej wileczej jagody lub jak odurzający blekot na ludzi, którzy się porywają, aby z tego odwaru wytopić kamień alchemiczny. Nic tedy dziwnego, że nieuzasadnione przyznawanie się do nietzscheanizmu napotkać można w różnych obozach, wśród różnych narodów i u ludzi o diametralnie odmiennych poglądach na świat. Dla mnie istota wielkości Nietzschego zawarta jest wyłącznie w jego niezmordowanej walce z głupotą ludzką, usiłującą zakuwać własną szyję w ciasną obróżę doktryn.

Nietzsche jedną z pierwszych swych prac publicystycznych poświęcił analizie znaczenia, jakim ma historia dla życia. Nie można, powtarzam, kusić się o streszczenie toku jego myśli. Po przeczytaniu rozprawki zagadnienie zostaje tak samo nie rozstrzygnięte, jak jest ono z samej swej natury nierozstrzygalne. Życie bez historii nie można, tak samo jak nie ma historii bez życia, ale jednak chodzą po świecie różne „głupie Jasie”, co „przepasują się toporkiem, a podpierają workiem” i wśród stoty o suchym kęsie chleba potrafią jasnymi oczyma na ten świat spoglądać i jeszcze podśpiewywać, przytupiając tanecznie. Nic ich historia nie obchodzi. Nie są tacy „głupi Jasie” z pewnością głupszy — ani bezużyteczniejsi od ludzi, którzy przez przerost historiozo-

ficznych skojarzeń usiłują do nich życie naginać.

Miedzy tymi dwoma skrajnościami mieści się właściwa proporcja szkód i pożytków, jakie może wiedza historyczna dać żywemu życiu. Historiozofia musi być kontrolowana przez geozofię, bo tylko ona daje plastyczną siłę, chroniącą przed historyczną chorobą. Na ten temat Nietzsche pisze:

„Istniały stulecia, w których Grekom zagrażało to samo co nam niebezpieczeństwo, a mianowicie zalew przez rzeczy obce i minione. Zagrażało im, że pójda na dno „historii”. Grecy nigdy nie żyli w dumnej niedotykaności. Ich „wykształcenie” („Bildung”) było raczej przez długi czas chaosem cudzoziemskich, semickich, babilońskich, lidyjskich, egipskich, form i pojęć, a ich religia była prawdziwą walką bogów całego Orlentu: podobnie prawie jak dziś „niemieckie wykształcenie” i religia są walczącym wewnątrz chaosem całej cudzoziemskiej, całych minionych wieków. A mimo to helleniska kultura nie była żadnym agregatem, dzięki owemu apolińskiemu hasłu (poznaj samego siebie). Dzięki temu hasłu Grecy zdolni byli ten chaos wciąż organizować”.

Któż z współcześnie myślących ludzi nie dostrzeże, że właśnie nasze pokolenie skazane jest na życie wśród najbardziej może beznadziejnego chaosu, jaki dotąd znała historia, i któż ślusnie nie podejrzewa, że istnieją różni i różnymi pobudkami kierowani ludzie, którzy chcieliby ten chaos w Europie powiększyć.

Wybieranie się w tych warunkach do Europy z rekwizytami historycznych analogii jest co najmniej donkiszoterią, tak samo jak znówu zapominanie o doświadczeniach historii byłoby niewątpliwie opasywaniem się toporkiem. W Europie powojennej będą potrzebne mocne topory, zaś młeczyki, wyjęte z butonierek, nie wystarczą nikomu, aby wyrębać sobie drogę wśród chaosu.

Niespożyta treścią kampanii, prowadzonej przez Nietzschego przeciw współczesnemu światu, była walka o oswobodzenie tego świata od zwierzęcego „powtarzania historii” i wzniesienia się ponad instynkt mrówki i pszczoły. Człowiek może i powinien najpierw nauczyć się żyć samodzielnie, a potem dopiero w służbie życia korzystać z doświadczeń historii. Przyszłość ukształtują nie czciciele urn, lecz ludzie nie wzdragający się przed nowością, a więc przede wszystkim młodzi.

Marian Górecki

„Polska Walcząca”

Namnożyły się jakoś te rocznice. Koniec wojny się zbliża, więc gazety emigracyjne nie chcą ryzykować czekania na 5-tą rocznicę i świętują 4-tą.

„Dziennik Polski” otworzył kontredans swym 1000-ym numerem. Potem światował „Dziennik Żołnierza”, a tych dniach „Polska Walcząca” obchodzi swe czterolecie. Dzienniki... jak dzienniki. Nagrzęszyły i nabrały oba, choć nie oba się do grzechów przyznają. Jednak oba były pozycjami potrzebnymi i spełniały w miarę możliwości nieważne zadanie informowania czytelnika, który wprawdzie języka angielskiego nie znał, ale w swej krytyce (bo jakżeby Polak inaczej) uparcie je porównywał do angielskich kolosów prasowych. Zostanie po nich wspomnienie i oba znajdują miejsce w historii naszej emigracji. Oby jak najprędzej!

Bardziej trwała wartość niż pisma codzienne — z natury rzeczy powierzchowne — mają periodyki, a „Polska Walcząca” zajmuje pośród nich jedno z pierwszych miejsc. Założona została jeszcze we Francji, — dokładnie 29-go listopada 1939 r. — w obozie 1-ej armii polskiej w Coetquidan. W krótkim czasie, bo od lutego 1940 r. aż do chwili zalamania się Francji, nakład jej z 5000 egzemplarzy wzrósł do 17000. Wzrost niesłychany i cyfra, jakiej nie znał żaden tygodnik w Polsce. Pismo emigracji wrześnieowej i wojska stało się pismem całego wychodźstwa polskiego we Francji. Tragiczne lato 1940 przerwało „francuski żywot” „Polski Walczącej”, która wraz z wojskiem przyjechała do Anglii i tu w Londynie, w malutkim pokoiku w St. Clements Press, „służy” nie tylko wojsku, ale także i polskiej literaturze. Oryginały rysunków i karykatur, zamieszczonych w „Polsce Walczącej”, porozwieszane na ścianach, nadają tej malutkiej redakcji „egzotywny” miechalikowy charakter. Zza cienkich, wiatrem podsztych ścian dochodzą odgłosy gwałtownych dyskusji po francusku, po holendersku, po norwesku, po „Bóg wie jak”emu”. Bo do St. Clements Press — śladem „Polski Walczącej” — trafiło bardzo wiele pism emigracyjnych innych sprzymierzonych.

Cieężar gatunkowy pisma zwykło się mierzyć jakością jego współpracowników. Inne gazety polskie kolekcjonowały lum narzy. Chlubili się firmowymi nazwiskami. Autorami, których podpis starczył nieraz za treść Tymon Terlecki, redaktor „Polski Walczącej” od chwili jej powstania aż po dzień dzisiejszy, obrał inną drogę. Trudniejszą, mniej wdzięczną drogę szukania talentów. Drukował nazwiska małe, najmniejsze, żadne. Ze słów korespondencji wyszukiwał cierpliwie, benedyktyńskiśko pracowicie każdy ślad talentu. Drukował każdy „możliwy” wiersz żołnierza. Każdy reportaż żołnierskiego życia. Nie bał się tematów najmniejszych, tak jak nie bał się tematów najodważniejszych. Dzieło mistrza chwały. Roczники „Polski Walczącej” stanowią już dzisiaj i stanowią będą zawsze nieprzebraną kopalnię materiałów do historii emigracyjnego życia. Nie historii plotek i intryg, insynuacji. Nie historii najniepotrzebniejszych w świecie kontrowersji. Nie historii „dygnitarzy” (w cudzysłowie) i megalomanów. Ale historii szarego Polaka, przeważnie żołnierza, a zawsze człowieka.

Miejmy nadzieję, że czwarta rocznica nie będzie ostatnią. „Polska Walcząca”, taka jak ją znamy, będzie miała rację bytu także w Polsce Wyzwolonej. Many happy/returns, panie Tymonie!

Rola korespondenta wojennego

Korespondencja wojenna jest nie tylko najbardziej aktualnym działem literackim, ale osiągnęła współcześnie niebywale wysoki poziom. Rynek

OPINIE ANGIELSKIE

księgarski Anglii i Ameryki zarzucony jest reportażami, z których jeden jest lepszy od drugiego. I dlatego dziwnym wydaje się, że tak rozpisaną Polacy na tej emigracji, dotychczas w piątym roku wojny nie wydał reportażu wojennego, któryby jakością i oddechem dorównywał wzorom angielskim. Były stoty artykułów, krótkich reportaży, opowiadań. Było nawet parę książek. Kampanie wrześniową znamy dość dobrze (choć najobszerniej z niemieckich źródeł), podobnie rzecz się ma z kampanią francuską. Narwik wydał książkę Pruszyńskiego. Tobruk wykwiłnął poetycką impresję Andrzejewskiego i rzeczowym opisem Mieczysława Pruszyńskiego. „Dywizjon 303” Arkadego Fiedlera i „Żadło Genowefy” Porucznika Herberta są opowiadaniem, nowelkami raczej, niż reportażami. „Polska Walcząca” cierpliwie, już 4 lata kolekcjonuje wspomnienia i migawki żołnierskiego czynu. Ale to wszystko, to nie to żołnierskie, zwłaszcza jeśli jest szkolonym dziennikarzem lub jeśli ma żylkę pisarską, wiele rzeczy odczuje i wiele rzeczy zobaczy, ale nie jest w stanie ukształtować sobie syntetycznego obrazu. W tym szybko zmieniającym kalejdoskopie wydarzeń wymaga to znacznie większych możliwości. Żołnierz widzi tylko swój odcinek. Ciasny, zakreślony ramami służby i rozkazu. Tylko rzadko mignie mu przed oczami snop światła, rzucony daleko na widnokrąg. Tylko rzadko i przypadkiem, a i wtedy nie zawsze, umie pojąć i objąć myślowo to, co widzi.

Zrozumieli to Anglicy już bardzo dawno i stąd ich respekt dla roli korespondenta wojennego. Prawdziwego korespondenta wojennego. Człowieka bystrego i wrażliwego. Posiadającego zmysł syntezy i artystyczne wyuczenie szczegółów. Przeważnie dziennikarza z zawodu. Nie żołnierza. Korespondent wojenny musi się cieszyć zarówno zaufaniem swego pisma, jak naczelnego dowódcy, ale gdy raz ustalono ponad wszelką wątpliwość, że jest człowiekiem godnym zaufania, wolno mu robić, co chce. Jechać, gdzie chce, i oglądać, co chce. Posiada wszelkie ułatwienia, które na polu bitwy daje mundur, bez skrupowania, jakie nakłada służba. Gdy jest na tyłach, ma możliwość wypadać na front i zasięgania informacji politycznych czy strategicznych. Gdy jest na froncie, ma dostęp na najbardziej zaawansowane pozycje i bywa rzetelnie i szczerze informowany, jak każdy sztabowy oficer.

„To u nas nie jest możliwe”, powiedział mi pewien znany besselwesser „Zakorkowałoby faceci papierkami, zakujonowałoby go szyszanami. Tajemnica wojskowa. Ścisłe tajne. Wojna, modium panie. Rrrozkaz!” Być może! Besselwesserzy miewają czasami rację. Ale dlaczego nie spróbować? Dlaczego nasi korespondenci wojenni pisują pięknie historyjki (na Amerykę) gdzieś z podniebia Rubensa? Dlaczego, jak amerykańscy korespondenci, nie leca z polskimi załogami na Niemcy? Dlaczego nie było ich w Tunisie, gdzie polskich lotników zawiodła ich fama, ale gdzie nie było nikogo, kto by ich osiągnięcia rozgłaszał. Dlaczego nie było polskiego korespondenta w desancie na Sycylię, gdzie brały udział polskie transportowce i polskie kontrtorpedowce? (Dla sprawiedliwości: Bohdan Pawłowicz był na Galtarnu i opisał konwój, ale to — dosłownie i ob-razowo — kropka w morzu).

„The End in Africa”

Powyższe uwagi nasunęły mi się podczas czytania reportażu Alana Mooreheada p. t. *The End*

in Africa. (Hamish Hamilton, Londyn, 1943). Jest to trzecia i najlepsza książka tego autora z cyklu reportaży, opisujących wojnę afrykańską. Pierwsze dwie to „Mediterranean Front” i „A Year of Battle”. „The End in Africa” daje syntetyczny obraz całej kampanii oraz szczegółowe opisy najbardziej charakterystycznych spotkań ostatniej fazy kampanii afrykańskiej, którą Montgomery rozpoczął pod El Alamein, a zjednoczone armie angielsko-amerykańsko-francuskie zakończyły na Cap Bon. Bitwa pod El Alamein zastała autora na urlopie w Ameryce, a potem w Londynie. Zdążył on do Afryki dopiero po lądowaniu Sprzymierzonych we francuskiej Afryce Północnej. Ten pobyt w stolicach Anglii i Ameryki dał autorowi możliwość szerszego rzutu oka na olbrzymie to wojny, nie mówiąc o bardzo przenikliwej charakterystyce Anglii, którą Moorehead zobaczył po raz pierwszy od czasów blitzu, i o wnikliwym zniku spraw politycznych, którego trafność jest uderzającą, zwłaszcza w świetle obecnego rozwoju wypadków wojennych. Podróż z Anglii do Afryki Północnej dała mu wreszcie sposobność do napisania pięknego reportażu o życiu załogi małej korwety, konwojującej okręty z Irlandii do Galtarnu.

W przekroju poziomym można podzielić książkę na dwie części. Analityczną i opisową. Obie o nieprzemijającej wartości. Analiza wypadków w Algierze jest nacechowana tak typowo angielską — chciałoby się rzec: kupiecką — „shrewdness”, tłumaczącą, choć nie pochwalającą ów dziwny układ z Darlanem i niepokojące posunięcia wojskowe pierwszych miesięcy. „Dawano oficjalnie do zrozumienia, że mieliśmy w akcji olbrzymią armię, tysiące tanków, armat i samolotów. W rzeczywistości tylko 3 — 4000 ludzi walczyło na froncie, przeważnie bronią małowalibrową i prawie że bez osłony lotnictwa”. Albo w opisie decydującego w bitwie tunetańskiej natarcia owo zdanie, charakteryzujące zwycięskiego generała, które swą dalekosiężną implikacją jest znamienne również dla systemu, dla armii angielskiej, dla Anglii: „Wierzę w jego genialność bo nie tylko zaplanował to uderzenie i nie tylko je wykonał, ale potrafił nas przekonać, że rozumiał znaczenie swego czynu”.

Najwspanialszą częścią książki są jednak niewątpliwie jej opisy. Obraz ataku nocnego i zdobywania wzgórz Longstop lub opis bitwy czolgów w dolinie El Guettar przejdą na pewno do historii literatury. Dziennikarstwo wzniosło się tu na wyżyny prawdziwej sztuki.

Z dziennikarskiego punktu widzenia ciekawą jest charakterystyka Montgomerya i Osmei Armii oraz nieprzebrana kopalnia „stories” w najlepszym stylu. Warto by tę książkę przetłumaczyć na język polski.

„World of Plenty”

Czy muszę przeproszać czytelników „W Drodze”, że jak maniak wracam znówu do sprawy wyżywienia? Ale jakkolwiek nudnym czy prozaicznym jest ten problem, jest on niemniej najważniejszym, jaki zaprzęta umysł ludzki. Najbogatsze kraje świata wydają 25—33% swego dochodu narodowego na żywność. W krajach uboższych część dochodu narodowego, wydawana na żywność, bywa znacznie większa. Cyfry te uzasadniają nasze zainteresowanie. Fakty naukowe, będące u podstawy wiedzy żywnościowej, to: rozwój wiedzy o witaminach, badania Sir John Orr'a

nad stosunkiem, zachodzącym pomiędzy odżywianiem, zdrowiem a dochodem, oraz badania, które ustaliły minimum pożywienia, koniecznego dla normalnego rozwoju człowieka. Konferencja w Hot Springs pierwsza rzuciła na ekran zainteresowania mas ten problem i w tym leży jej największa zasługa. Od tego czasu propaganda wciąż sprawy te przypomina. Szczególnie w Anglii specyficzne warunki wojenne, fakt, że najwybitniejsi uczeni w tym dziale wiedzy są Anglikami, oraz powstanie pierwszego na świecie ministerstwa żywności — instytucji, planującej naukowo i politycznie odżywianie ludności wielkiego państwa — sprawiły, że propaganda ta była specjalnie żywa.

Dwa szczególnie udane wysiłki propagandowe Anglii w tej dziedzinie to: film p. t. *The World of Plenty*, długometrażówka naukowo-propagandowa, oraz książka Sir John Orr'a p. t. *Food and the People* (the Pilot Press Ltd., 1943).

Właściwie, jeśli się uwzględni odrębne wymagania słowa pisanego i ekspresji filmowej, można by nazwać książkę scenariuszem filmu, a film pierwowzorem książki. Były one zresztą, jak wiele szczegółów na to wskazuje, robione równolegle i w dość ścisłym porozumieniu. Ich myśl przewodnią jest następująca. Jeśli wyspy brytyjskie potrafiły podczas wojny zaplanować tak doskonale — naukowo i społecznie — swą politykę żywnościową, to dlaczego nie spróbować tego samego po wojnie na skalę światową. Trochę mniej egoizmu narodowego, a więcej szczerzej ludzkiej troski o bliźniego, trochę mniej drobnostkowego partykularyzmu, a więcej polotu i wyobraźni — a można by tę sprawę praktycznie wykonać, tym bardziej, że organizacyjnie i naukowo została ona rozwiązana.

Film kładzie nacisk na możliwości praktyczne. Na drogę, jaką powinna iść rzeczowa, rozsądna i ludzka polityka rolnicza i polityka handlowa. Książka podkreśla wyniki badań naukowych i osiągnięcia praktycznych Anglii czasów wojny w dziedzinie polityki żywnościowej. Ta różnica akcentu jest jednak tylko wynikiem różnych możliwości ekspresji. Myśl przewodnią i propagandowa pozostają te same. Są one znamienne dla mentalności angielskiej, idealizującej, ale praktycznej. Egzaltującej się nie szumnymi słowami, ale realnymi możliwościami. Nie mierzącej siły na niewykonalne zamiary, ale opartej na wyrachowanej, trzeźwej trosce o wykonanie osiągalnych celów.

Dominik Szerbiec

TADEUSZ SOWICKI

tom wierszy p. t.

ZWROTNIK WILKOŁAKA 1939-1942

Warszawa • Węgry • Jugosławia

Turecja • Palestyna • Egipt • Libia

Irak.

N a k ł a d e m

Wydawnictwa „W Drodze” w Jerozolimie

Cena 120 milsoń.

BOHDAN ŁACZKOWSKI

TAK PISAŁ DOSTOJEWSKI

Nazwisko Dostojewskiego weszło w skład tego niewielkiego zapasu słów, które w pojęciu narodów Europy Zachodniej tworzą obraz Rosji. Nie byłoby chyba mylnym twierdzenie, że dzieła Dostojewskiego stały się podstawą poglądu tych narodów na sprawy rosyjskie.

Lektura Dostojewskiego utrwaliła również wiele pojęć zasadniczych o Rosji. A więc, że Rosjanie to naród o szerokiej fantazji, że lud rosyjski jest prosty, sprawiedliwy i bogobojny, że dusza rosyjska jest trudna do zrozumienia i t. d. Filozofia Dostojewskiego utożsamiana jest z pojęciem skrajnego humanitaryzmu, przechodzącego w dziedzinie politycznej w anarchizm, czy wręcz nihilizm.

Mniej znane są pisma polityczne Dostojewskiego. Drukował on je w okresie na krótko przed ukazaniem się „Braci Karamazowych” oraz już po ukazaniu się tej ostatniej jego powieści, aż do śmierci. Pochodzą więc one z okresu pełnej dojrzałości myślowej Dostojewskiego. Są to lata 1873—1881.

Jest to jeden z najciekawszych okresów polityki europejskiej w. XIX. Wojna francusko-niemiecka roku 1870 zmieniła zupełnie układ rzeczy w Europie Zachodniej i Środkowej. Wydana w czasie wojny obecnej w Moskwie „Historia dyplomacji” tak charakteryzuje te lata:

„Wojna francusko-pruska uwięziła okres głębokich przemian w politycznym układzie sił w Europie. Zakończony został proces zjednoczenia Niemiec, chociaż bez niemieckich okręgów Austrii. Doszło do połączenia się w jedną całość Włoch, chociaż bez Triestu i Trydentu. Poprzednio wschodnimi sąsiadami Francji były szabe, małe państwa, a zachodnim sąsiadom Rosji były stosunkowo niewielkie Prusy, do tego będące w stanie bezustannej rywalizacji z Austrią. Teraz na granicy Rosji i Francji powstało wielkie państwo — potężne Imperium Niemieckie...”

W tych to latach Rosja przechodzi do siebie po upokorzeniu wojny krymskiej, po zawodach i wstrząsach, wywołanych polityką lat 1848—1856. Stłumienie powstania polskiego 1863 r. było pierwszym krokiem na drodze wzmożenia poczucia własnej siły. Upadek „uzurpatora”, Napoleona III, niespodziewane sukcesy polityki Prus wzbudziły w Rosji myśli o rewansu. Rośnie przekonanie o konieczności akcji.

W r. 1876 wydaje się, że przyszedł właściwy moment dla Rosji, by próbować rozwiązać na własną rękę „sprawę wschodnią”, dobić tureckiego „chorego człowieka” i opanować wreszcie Konstantynopol.

Bismarck w pamiętnikach swych opisuje, jak na jesieni r. 1876 na polecenie Aleksandra II, niemiecki attaché wojskowy, gen. v. Werder, przysłał mu sztyr, formułujący za pytanie, czy na wypadek wojny Rosji z Austrią Niemcy zachowałyby neutralność. Bismarck uprawiał wówczas politykę, którą Wilhelm I określał jako „zonglowanie pięciu kulami w ten sposób, by zawsze przynajmniej dwie były w powietrzu”. Starał się utrzymać dobre stosunki zarówno z Rosją, jak z Austrią. Zmuszony przez zapytanie rosyjskie do zajęcia stanowiska, udziela ambasadorowi niemieckiemu w Petersburgu, v. Steinitzowi, obszernej instrukcji, w której przedstawia korzyści, wynikające z dobrych stosunków między trzema cesarzami, którzy „w walce z rewolucją mogą więcej stracić, niż zyskać w wzajemnej walce”. „Jeżeli jednak miałoby dość do wojny rosyjsko-austriackiej, to Niemcy będą mogły wprawdzie znieść, by dwa przyjacielskie państwa mogły we wzajemnej walce wygrywać lub przegrywać bitwy, lecz nie mogą dopuścić, by jedno z nich zostało tak osłabione czy rozbite, by jego pozycja jako niepodległego, w sprawach europejskich współdecydującego mocarstwa mogła być zachwiana”).

Zdaniem Bismarcka odpowiedź ta wystarczała Góreckowowi dla przekonania Aleksandra II, że miłość Bismarcka do Rosji jest dość platonicznej natury. Plany wojny przeciwko Austrii zostają porzucone. W styczniu 1877 r. dochodzi do umowy rosyjsko-austriackiej, za cenę aneksji przez Austrię Bośni i Hercegowiny Rosja zapewniła sobie neutralność naddunajskiego cesarstwa w wojnie rosyjsko-tureckiej. W kilka tygodni później Rosja zaatakowała Turcję. Dostojewski stał się jednym z heroldów tej wojny.

*

W pismach politycznych Dostojewskiego uderza przede wszystkim ciągle powracające i stale podkreślane rozróżnienie Europy i Rosji.

„Wszystkie mocarstwa europejskie przechodzą obecnie przez okres niezwykle ciężki, — pisze Dostojewski w maju 1877 r. — który wynika dla nich ze spraw tak kapitalnej wagi, że przed każdym staje problem: być albo nie być. Ten stan rzeczy w Europie jest dla Rosji niezwykle korzystny. Nigdy Rosja nie była Europie tak potrzebna i w oczach jej nie wydawała się tak potężna, jak obecnie. Zarazem nigdy Rosja nie była tak oddalona od najważniejszych i najcięższych problemów, obchodzących starą Europę, ale nie Rosję. Nigdy jeszcze sojuszy z Rosją nie był-

by tak wysoko ceniony w Europie, jak teraz, i nigdy Rosję nie miała tylu powodów do radości, że nie jest starą Europą, tylko nie się w sobie nowy potężny świat, dla którego nadarza się okazja przejścia do nowej fazy realizacji szeregów dążeń. Jest to chwila, w której bardziej niż kiedykolwiek należy się oswobodzić od tych wszystkich straszliwych problemów, w jakie uwięzła się stara, rozpadająca się Europa”.

*

Przeciwstawienie Rosji Europie to dla Dostojewskiego nie tylko problem aktualnej polityki zagranicznej Rosji. Jest to dla niego zagadnienie podstawowe misji dziejowej Rosji. Dostojewski walczy ze wszystkimi tendencjami zbliżenia się do Europy. Rozprawia się ostro z „zarażonymi duchem europejskim” liberałami, którzy w latach czterdziestych głosili konieczność „dopędzenia i prześcignięcia Europy”. W „Biesach” przedstawia takiego idealistę lat czterdziestych, Stefana Trofimowicza Wierchowienńskiego, lecz w ogłoszonym później (lipiec 1876) artykule „Idealisci czy cynicy” krytykuje gwałtownie ten typ myślenia politycznego, zarzucając tym „patentowanym” kaznodziejom „Piękną i Dobrą”, idącego ze świata kultury zachodniej, że w rzeczywistości są cynikami, nie rozumiejącymi duszy rosyjskiej.

Walczy z każdą formą „lokajstwa” wobec Europy. Oburza się na zbyt dobre traktowanie jeńców tureckich. Pisze, że gdy zażądali oni białego chleba, natychmiast go otrzymali, tak że gdy mieszkańcy Moskwy zobaczyli, w jak dobrych i wygodnych warunkach odbywa się podróż koleją jeńców tureckich, byli zdumieni. Twierdzi (w artykule „Lokajstwo, czy delikatne uczucia”, ogłoszonym w listopadzie 1877 r.), że przyczyną tego dobrego obchodzenia się z jeńcami tureckimi jest chęć pokazania Europie, że Rosja jest krajem cywilizowanym w sensie zachodnio-europejskim. „Jest rzeczą znaną, — sztydzi Dostojewski, — że wszyscy inteligentni Rosjanie są niezwykle taktowni w wypadkach, w których chodzi o opinię Europy, gdy myślą że Europa na nich patrzy, chociaż w rzeczywistości Europa nigdy ich nie spostrzeże!”

„Europa nie lubi Rosjan” pisze jeszcze na rok przedtem (w czerwcu 1876 r., w artykule „Mój paradoks”). „Europa nam nie ufa”. „Kiedys to się zmieni...” — zaznacza innym razem tonem, brzmącym jak groźba.

*

Liczne artykuły Dostojewskiego wracają wciąż do tych samych tematów. Europa jest zepsuta. Europa odeszła od prawdziwego pojęcia Boga. Toczy ją rak klerykalizmu katolickiego wraz z „wywodzącym się w prostej linii z katolicyzmu — socjalizmem”, Rosja ma do wykonania misję przerobienia Europy na nową modłę. Prawosławie reprezentuje prawdziwe oblicze chrześcijaństwa. Bogobojny i praw lud rosyjski nosi w sobie te wszystkie cechy, które są konieczne dla budowy nowej Europy. Car z ludem tworzą jedność. Wszelkie przejawy buntu czy walki z caratem wynikały ze szkodliwych nowinek, przyniesionych z Europy, zarażonych tamtejszymi ideami. „Trzeba skończyć z wszelkimi formami „zapadniczości”. „Może są niektóre dobre rzeczy w Europie, — pisze Dostojewski, — ale znacznie więcej złych”.

Chyba najbardziej syntetycznie ujmując on swe rozważania na temat przyszłości Europy w artykule „Trzy idee”. Te trzy idee, to katolicyzm, protestantyzm i idea słowiańska, „prawosławna”. Dostojewski widzi nieuchronny upadek świata katolickiego. Przepowiada bliski koniec papieżstwa. Twierdzi, że próby Watykanu oparcia się o idee socjalne nie udadzą się. W artykule tym, jak i w szeregu innych, Dostojewski uważa hierarchię katolicką za szczyt perfidii. Przypisuje jej bliskie związki z wolnomularstwem i socjalizmem. Poglądy jego przypominają żywo stanowisko gen. Ludendorffa, który jeszcze przed pojawieniem się na szerszej arenie hitleryzmu pisał artykuły i wydał broszurę o „Jezuicko-żydowsko-masońskim porozumieniu”.

Protestantyzm jest sympatyczniejszy Dostojewskiemu. Z chwilą upadku katolicyzmu traci on jednak swą rację bytu, która polega na „protestowaniu” przeciwko katolicyzmowi. „Idea słowiańska pogardzają germanicy protestanci narówni z katolicyzmem, — pisze Dostojewski. — lecz uważają ją za mniej niebezpieczną, mniej godną walki”. A tymczasem, według Dostojewskiego, to właśnie ta idea słowiańska jest nosicielką Nowej Europy.

Specjalną serię artykułów Dostojewski poświęca „Sprawie żydowskiej”. Pisze o wyzysku chłopów rosyjskich przez Żydów, o wyzysku murzynów w południowych stanach Ameryki Północnej przez Żydów, po tym jak wojna domowa dała im wolność. Twierdzi, że wszystkie korzyści uwłaszczania włościan w Rosji przepadną, jeśli Żydom pozwoli się wyzyskiwać chłopów.

*

Dostojewski popiera wojnę z Turcją, bo Konstantynopol musi być rosyjski. W artykule „Wcześniej czy później Konstantynopol musi do nas należeć” (marzec 1877) pisze: „nie tylko świetny port, nie tylko wrota do morza i oceanów wiąży Rosję tak ściśle ze „sprawą wschodnią”, i nawet najważniejszym zagadnieniem nie jest wskrzeszenie ni zjednoczenie narodów słowiańskich... Nasze zadanie jest głębsze. bez porównania głębsze. My,

Rosjanie, jesteśmy niezbędni dla całego wschodniego chrześcijaństwa, dla zjednoczenia całej przyszłej prawosławnej ludzkości. Tak rozumieli nasze zadania zarówno lud rosyjski, jak i jego władcy. „Sprawa wschodnia” to zagadnienie naszego losu. W niej tkwią wszystkie nasze zadania, przede wszystkim zaś jedyna możliwość wejścia do wielkiej historii ludzkości. Na piaszczyźnie tej leży nasze ostateczne starcie z Europą i ostateczne zjednoczenie z nią na nowej, potężnej, owocnej podstawie. Jakkolwiekby się miały zakończyć obecne, być może konieczne, rokowania dyplomatyczne i układy z Europą, weześniej czy później Konstantynopol musi być nasz, nawet jeżeliby to miało nastąpić w przyszłym stuleciu”.

Sprawa panowania rosyjskiego w Stambule zajmuje go na przestrzeni wielu lat i w szeregu artykułów. W czerwcu 1876 pisze: „Złoty Róg i Konstantynopol — wszystko to będzie kiedyś nasze, nastąpi to samo przez się. Jest to naturalny wynik rozwiązania sprawy bałkańskiej”. „Rosja Piotra Wielkiego była czynna i zwarta, choć politycznie rozwijała się powoli. Wiedziała, że dźwiga w sobie skarb, jakiego drugiego nie można znaleźć w całym świecie: prawosławie. Rosja wie, że jest strażniczką prawdziwej wiary Chrystusowej. Najprawdziwszy obraz Chrystusa zawarty jest w prawosławiu. Wszystkie inne formy wiary i inne narody mają obraz ten zaciemniony”. W Moskwie ustaliło się przekonanie, że każde bliższe zetknięcie się z Europą jest szkodliwe i demoralizujące dla rosyjskiego poglądu na świat dla rosyjskiej idei. Zetknięcie to może przyczynić się do wykołajenia prawosławia i wprowadzić Rosję na drogę zepsucia, na wzór wszystkich innych narodów”. „Rosja była już w Europie i nie jest już tak nieznaną rzeczą jak wówczas, gdy Piotr Wielki wyrąbał okno na Europę. Najważniejszym jednak jest, że Rosja poznała całą swą siłę i stała się prawdziwie silną”.

Na tle sprawy wschodniej Dostojewski zajmuje się dużo Słowianami. Uważa za niebezpieczliwych utopistów „słowianofilów” sprzed wojny krymskiej. Wykazuje, że wprawdzie Słowianie bałkańscy pragną wyswobodzenia z niewoli tureckiej, lecz że część ich inteligencji obawia się, że wojska rosyjskie, niosąc swobodę od władzy tureckiej, przyniosą ze sobą zależność od rządu carskiego. Wykpiwa te wpływy zachodnie na Bałkanach. Przewiduje, że Bułgarii zachce się zapewne mieć własny parlament, że jakiś „Iwan Czytylik” będzie miał pretensje, by zostać premierem Bułgarii, że potem dojdzie do kłótni serbsko-bułgarskich...

Dostojewski jest zdania, że tylko opieka Rosji może zapewnić niepodległą egzystencję narodów słowiańskich na Bałkanach i, że tylko w oparciu o prawosławie rosyjskie mogą uniknąć rozkładu kościoły prawosławne narodów bałkańskich.

*

O Polsce pisze Dostojewski mało. Gdy opisuje niebezpieczeństwo żydowskie dla Rosji, cytując jako przykłady „systematycznie przez Żydów uprawiane demoralizacji ludu rosyjskiego”, „zachodnie tereny przygraniczne”. Mówi także o szkodliwych wpływach europejskich w „zachodnich częściach Rosji”. Nazwa „była Polska” użyta jest parokrotnie tylko w jednym artykule „O spisku klerykalnym w Rosji”. Artykuł ten został ogłoszony na jesieni r. 1877, gdy przebieg kampanii rosyjsko-tureckiej wykazał, że wbrew oczekiwaniom wojska rosyjskie idą naprzód powoli, że pomimo zapewnień o przewadze siły po stronie armii carskiej — Turcy potrafili wstrzymać przez czas dłuższy postępy jej zarówno na Bałkanach, jak na Kaukazie.

W październiku 1877 r. „Moskowskie Wiadomości” Katkowa przynoszą artykuł, który oburza się, że „w czasie, gdy wojska nasze odnoszą świetne zwycięstwa między Plewną a Orchaniami, rozpowszechniono w Petersburgu wiadomości o klęskach, zadanych nam na Bałkanach. Cel tej intrygi jest jasny: chodzi o odebranie narodowi odwagi”. Artykuł „Moskowskich Wiadomości” spotyka się z odprawą w „Nowoje Wremia”, które podkreśla, że nie należy zbyt przywiązywać wagi do plotkarstwa. Dostojewski zajmuje się tą polemiką dziennikarską i gorąco wypowiada się przeciw bagatelizowaniu tej kampanii pogłosek. Cytując londyński „Morning Post” z 22 października 1877 r., zaznacza, że dzienniki zagraniczne mówią obszernie o odstąpieniu zachodniej części „Kraju Przywiślańskiego” Niemcom w zamian za poparcie, jakie miałyby dać one Rosji przy zdobyciu Bałkanów. Dostojewski oburza się na tego rodzaju przypuszczenia. Widzi w nich robotę „anglo-madziarów” (jak nazywa nieprzychylnie Rosji koła w Wielkiej Brytanii i w Austrii), skierowaną ku wywołaniu nowego polskiego powstania i uzasadnienia jego wybuchu przez plany rosyjskie odstąpienia części Królestwa Kongresowego. Pisze, że wszystkie rozpowszechniane w Petersburgu plotki dowodzą istnienia szerokiego spisku watykańskiego przeciwko Rosji. Ten spisek „rzymsko-katolickich kół Rosji” używa niejednokrotnie podstępów, by trafić do opinii publicznej państwa carów.

„Na początku lata (1877) — pisze — klerykalni agitatorzy próbowali trafić do gazet rosyjskich. Wilki przebrały się w skóry owce i próbowali przemawiać tak, jak gdyby były wystannikami wszystkich polskich „kół

emigracyjnych” zagranicą. Najpierw próbowali szukać porozumienia: weźcie nas, mówili — widzimy, że bliskie zjednoczenie wszystkich Słowian nie ulega wątpliwości, my nie chcemy pozostać na boku”.

„Mówili niezwykle delikatnie i próbowali przedstawić swoje argumenty: mamy inżynierów, chemików, technologów, rzemieślników i t. d. Pozwólcie im pracować w Rosji”. „Czyż nie macie — zapytuje autor artykułu w „Petersburskich Wiadomościach” — pracy dla tego typu ludzi jak Tęgoborski w Rosji, czy Wołowski we Francji? A w dziedzinie sztuki, która podnosi obyczaje i uszlachetnia charakter, przeciw Polacy, tacy jak rzeźbiarz Brodzki, czy malarz Matejko, znani są w świecie całym. Czyż rzeczywiście nie potrzebujecie takich ludzi? Przecież Polacy mogą nam dostarczyć literatów, publicystów, fabrykantów, techników...”

Dostojewski cieszy się, że propozycje te spotkały się z ostrą odprawą Kostomarovą z „Nowoje Wremia”, który pisze, że „cała ta polska próba ugody jest tylko pułapką dla Rosji, by wprowadzić do Rosji więcej zdrajców”. Bo zdaniem Dostojewskiego kierunek „ugodowy” w polityce polskiej jest tylko odłamem europejskiego, klerykalnego spisku przeciw Rosji.

„Ta letnia próba ugody — pisze Dostojewski — czyniona była akurat w tym momencie, gdy cała polska emigracja pracowała przeciwko Rosji, gdy czynione były próby organizacji legionów polskich, gdy polscy arystokraci w Konstantynopolu pojawili się z wielkimi sumami pieniężnymi, oczywiście nie własnymi. Ta cała próba ugody nie była niczym więcej, jak podstępem. Polacy proponują nam uczonych, techników i artystów i mówią: weźcie ich, czyż ich nie potrzebujecie? Uważają nas za dzikich i postępują tak, jakby nie wiedzieli, że wszystko co nam proponują, mamy sami w lepszym wydaniu. A zresztą, przyjdzie! Poco tu się specjalnie umawiać? Pogódźcie się i poddajcie się, lecz wiedźcie, że dawna Polska nie zmartwychwstanie nigdy! Istnieje nowa Polska, oswobodzona przez cara. Zmartwychwstała nowa Polska czeka bez żadnej wątpliwości ten sam los, co inne słowiańskie narody, gdy Słowiańszczyzna zostanie oswobodzona i zmartwychwstanie w Europie. Ale dawnej Polski nie będzie już nigdy...”

„To dziwne, że sprzyjający Polakom dziennikarze tylko o uczonych i artystach piszą. A przywódcy emigracji, a artystokraci? Wyobraźmy sobie tylko stan rzeczy, któryby powstał, gdyby Rosja chciała posłuchać miłych słówek i rozpoczęła rokowania. Wówczas Polacy będą pytać: „Jakie są wasze warunki?”. gdyż jeśli proponuje się nam, by emigracja wróciła do Rosji, a sama z siebie nie wraca, to wiadałoby, że oczekuje jakichś warunków. Oznaczałoby to, że Rosja uznaje nagle tych emigrantów za coś rzeczywistego i rozpoczyna z nimi rokowania. Wtedy wróca do Rosji i wszyscy polscy magnaci podnoszą głowę i żądać będą wysokich stanowisk i odznaczeń. A jeśli tego nie dostaną, to podniosą krzyk, że oszukaliśmy ich, i w końcu dojdzie tylko do nowego polskiego powstania!”

*

Dostojewski pisze o emigracji polskiej jako o „arystokratkach”, utożsamia sprawę polską z dążeniami „magnatów” — i to w okresie, gdy rozwija się pierwsza polska organizacja socjalistyczna „Proletariat”, gdy ruch ludowy w Małopolsce działa już w pełni, gdy hasła pracy pozytywnej w Królestwie nawołują do zerwania z dawnymi tradycjami szlacheckimi, gdy Asnyk formułuje je w programowym wierszu pozytywizmu.

Dostojewski, zwolennik arystokracji, wróg liberalizmu, socjalizmu, komunizmu, wyznawca poglądu, że prawosławie zbawi świat! Czyż nie tkwi w tym jakiś paradoks? Dostojewski sam czuje, że w stosunkach między Rosją a Europą poglądy na to, co jest postępek, a co jest reakcją, obracają się niejednokrotnie po linii paradoksu.

W cytowanym już artykule „Mój paradoks” pisze:

„Czujemy coraz wyraźniej, że musimy być gotowi do czegoś, co oznaczać będzie nowe starcie z Europą, może starcie odmienne niż dotychczas...”. „Czemu się to dzieje, że 9/10 Rosjan, którzy otrzymali wykształcenie w krajach europejskich, przyłączyło się do skrajnej lewicy, a więc do tych partii politycznych, jakie powstały z zaprzeczenia własnej kultury narodowej, własnej cywilizacji tych krajów?... Znalazłem na to odpowiedź: w połączeniu naszych najgorliwszych „zapadników” ze skrajną lewicą Europy, t. j. z elementami, wrogimi kulturze europejskiej w obecnej jej postaci, ukazuje się dusza rosyjska, wroga kulturze europejskiej od zawsze, od czasów Piotra Wielkiego! To jest rosyjska forma protestu przeciwko tej kulturze, w której tkwi wiele, zbyt wiele elementów, obcych duszy rosyjskiej”. „Rosjanie, którzy są w Europie socjalistami i komunistami, nie są przede wszystkim nigdy europejczykami — i w końcu stają się prawdziwymi, tegimi Rosjanami, gdy mija nieporozumienie (wynikające z pomieszania Europy i Rosji) i gdy poznają swój kraj!”. „Żaden Rosjanin nie będzie nigdy europejczykiem, jeżeli choć trochę, choć troszeczkę pozostał Rosjaninem!”. „Jesteśmy rewolucjonistami w jakiejś własnej potrzebie, jeżeli tak można powiedzieć: rewolucjonistami z konserwatyzmu!”.

¹⁾ „Istoriia Diplomatiji”. Moskwa 1941, tom I, Str. 527—528.

²⁾ Otto Fürst von Bismarck „Gedanken und Erinnerungen”.

STANISŁAW LENZ

SZKOŁA A WOJSKO

W numerze 17. „W Drodze” z dn. 1 grudnia 1943 r. p. Ł. Kurdybacha ogłosił artykuł na temat szkoły i wychowania. Autor twierdzi m.in., że sprawa ta jest problemem „z dziedziny odległej od zmagani militarnych”.

Nie podzieliłbym tego poglądu. Uważam, że dziedzina wychowania i nauczania zalega się ściśle z zagadnieniem militarnym. Jest dla niego równie ważna, jak zagadnienie rozbudowy przemysłu czy komunikacji.

Ustalić należy ściśle, co mamy na myśli pod pojęciem zmagani militarnych. Określenie to raczej wskazuje, że autor miał na myśli tylko odcinek wysiłku militarnego, pewien okres wojny. Bo nawet jeżeli przyjmijemy 4—5 letni okres wojenny, już sprawy te nabierają znaczenia wartości tyluż roczników poborowych. Pozycja ta nie może być kwestią drugorzędą.

Raczej w tym wypadku należy oprzeć się na zasadach, ustalonych przez Clausewita, że rola wojska nie ogranicza się do pola walki. Strategia jest służą polityki. Obecna wojna nie tylko nie obala tej tezy, ale dodaje jej świeżego blasku. Zagadnienie wojny jako obrony interesów państwa, czy to w znaczeniu zaborczym, czy tylko obronnym, zajmuje wszystkie dziedziny życia. Okres pracy pokojowej jest budowaniem, wojna jest aktem obrony stworzonego w okresie pokojowym stanu. Obie te funkcje są jedną całością, wykonywaną przez wszystkich obywateli. Przygotowaniem do jednej i do drugiej roli zajmują się przede wszystkim szkoła i wojsko.

Wyszkolenie, które jest podstawowym problemem pracy w wojsku, i to tak samo w czasie wojny, jak i pokoju, jest ściśle uzależnione od wychowania, poziomu intelektualnego i wiedzy, z jaką człowiek przychodzi do służby wojskowej. Dzisiejszy postęp techniki, który tak ogromny wpływ wywarł na sposób wojowania, nie tylko nie zmniejszył, ale, przeciwnie, spotęgował znaczenie jednostki. Nowoczesna walka indywidualizuje, wymaga od każdego żołnierza samodzielnego wysiłku. Nie bezduszną maszyną, ale człowiekiem, który nią kieruje, decyduje o wyniku walki.

Tym, których praca wiąże się ze szkoleniem i przygotowaniem wojska, nigdy nie będzie obca sprawa szkoły, ani wychowania nowego pokolenia. Poza walczącym na froncie żołnierzem istnieje jeszcze front wewnętrzny, którego żaden sztab nie pomija w swoich rachubach. W jakim stopniu szkoła wpływa na losy wojny, przekonaliśmy się z wypowiedzi francuskich autoritetów wojskowych po klęsce 1940 r. Wszyscy oni w czołowej kolejności rozpatrują i osądzają system wychowania po roku 1918.

Nie jest rzeczą przypadku, ani zjawiskiem niezrozumiałym, że właśnie w dzisiejszej dobie największego nasilenia walki problem ten wysuwa się na pierwszy plan. Nadchodzące pokolenie otrzyma spuściznę, która właśnie teraz się wykuwa, i nie jest dla nikogo z walczących obojętna, jakie ręce będą nią władać.

Sądzę, że dostatecznie oświetliłem powody zainteresowania się wojska sprawą szkoły i wychowania. Chciałbym obecnie przedstawić niektóre poglądy na tę kwestię z czysto wojskowego punktu widzenia.

Nie jednemu zapewne oficerowi po klęsce 1939 r. nasunął się cały szereg wątpliwości co do opłacalności 20-letniego wysiłku pracy i ofiar w stosunku do wartości oporu. Każdy zdawał sobie sprawę z tego, jak wiele kosztowało nas przygotowanie armii, która nawet nie została zmobilizowana w całości. I aczkolwiek na ocenę wartości naszej walki wpłynęły z czasem inne kryteria, to jednak ten ważny i słuszny problem opłacalności szkolenia i utrzymywania armii w czasie pokoju, wywarł swoje piętno na całości rozważań.

Znaliśmy historię armii niemieckiej. — Modne było przed wojną twierdzenie, że Niemcy nie będą gotowe, ponieważ zbyt późno ogłosiły powszechny obowiązek służby wojskowej. Twierdzenie to okazało się równie błędnym, jak i teoria o małej przydatności wojsk mechanicznych. Praktyka aż nadto wykazała, że Reichswehra potrafiła w szybkim czasie wehłonać miliony rekruta i stworzyć armię nie tylko wyszkoloną, ale i postawioną na najwyższym poziomie nowoczesnej techniki. Mało tego, że tak szybko wyrosły ogromne masy technicznie nowoczesnego wojska, były one kierowane i dowodzone w myśl zasad, opracowanych na podstawie wprost laboratoryjnych studiów.

Armia niemiecka, zamiast przez długie lata szkolić roczniki rekruta, które, gdy nadchodzi dzień mobilizacji, stają się w ogromnym procencie przestarzałe i jako takie tylko pół użyteczne, szkolą kadre. Wyśitek, tym silniej skoncentrowany, opłacił się, dając w odpowiednim czasie w najwyższym stopniu wartościowy element dowódców i instruktorów wszystkich szczebli. Obserwując rozwój armii niemieckiej i biorąc pod uwagę wymagania wyszkoleniowe nowoczesnego wojska, szeręg wybitnych specjalistów przed wojną wypowiadało się za częściowym przynajmniej zastąpieniem armii poborowej przez armię zawodową.

Drugim analogicznym przykładem, jeszcze bardziej jaskrawym niż Niemcy, była armia Wielkiej Brytanii. Jest to tym bardziej godne zastanowienia, że wysiłku dokonano w czasie znacznie krótszym, przy środkach bardziej ograniczonych i być może w najpoważniejszej w dziejach Wielkiej Brytanii sytuacji,

a mimo to osiągnięto dziś wyniki najzupełniej doskonałe.

Niemcy, przygotowując odwetową wojnę totalną, mając ograniczone możliwości rekrutacji, zorganizowały świetnie przysposobienie wojskowe, przygotowując przez to grunt pod późniejsze intensywne szkolenie poborowe. W Wielkiej Brytanii kwestia ta stała nieporównanie niżej.

Jeden i drugi fakt pozwala na początek wysunąć wnioski, że: a) kadrowa armia zawodowa o pełnej wartości jest w stanie w krótkim stosunkowo czasie przeszkolić i przygotować pod każdym względem normalną armię z kontyngentów poborowych; b) przysposobienie wojskowe, postawione na właściwym poziomie, może w pewnym stopniu zastąpić szkolenie kontyngentów z powszechnego obowiązku służby wojskowej.

Nie należy jednak ograniczać się do tych wniosków jedynie i ostatecznie. Analizując obie sytuacje, musimy pamiętać, że Niemcy, mając przewagę strony atakującej, niemal do woli układały plan przygotowania i rozpoczęcia wojny. Z kolei Wielka Brytania mogła polegać na swym wyjątkowym położeniu geograficznym, popartym argumentami najpóźniejszej i najlepszej marynarki świata. Tak w jednym, jak i w drugim wypadku zdecydowały poza wszystkim przyczyny natury politycznej i strategicznej. Tym niemniej jednak o tym, że w jednym i drugim wypadku nie zawiódły obliczenia, że kadry zawodowe wiązały się z narzuconego im zadania tak jak to przewidywano, zdecydowały jeszcze jeden czynnik, tym razem wspólny dla obu tych krajów, mimo całej ich odrębności. Czynnikami tym był wysoki poziom kultury i wiedzy szkolnej obywatela, który miał stać się w razie potrzeby żołnierzem.

Poziom wiedzy ogólnej, a przede wszystkim zdolność przyswajania sobie umiejętności z zakresu techniki, siedł w obu państwach równoległe z rozwojem przemysłu, niemniej jednak był on bezapelacyjny wynikiem wysokiego poziomu szkolnictwa.

W obu państwach analfabetyzm należał do przeszłości. Szkoły zawodowe zapewniały dostateczną ilość specjalistów. Procent ludzi nie obeznanych z prowadzeniem samochodu był znikomy. A poza tym wysoka dyscyplina społeczna, objawiająca się zresztą w jednym i drugim wypadku zgodnie z charakterem narodowym, pozwala przewidzieć możliwości organizowania.

Moim zdaniem, na dalszym planie należy w tym wypadku postawić zagadnienie „partyjnego wychowania” w szkole niemieckiej. To sfanatyzowane spalenie młodych umysłów miałoby raczej znaczenie przy wyprowadzeniu nowego ładu. Na wartość wojskową roczników, wychowanych w niemieckiej szkole, wpływał raczej jej poziom ogólnego wykształcenia i dbałość o zdrowie fizyczne młodego pokolenia.

TADEUSZ WITTLIN

BRZYDKIE ULICE

Bezmierny obszar obeszlśmy ziemi,
Bo dziwną drogą poprzez wojnę krocymy.
I nim do kraju wrócimy zdrożeni
Aż nadto mogły napatrzeć się oczy.

Wysoki Taszkient, różany Aszhabad,
Radośnie, w słońcu skąpany Teheran,
Bagdad, Damaszek, gdy szczęścieby dała
Skromna, niedzielna przejażdżka do Białen.

Port Aleksandrii srebrną falą huczy,
Czaru Luxoru nie opiszą słowa,
Lecz ja myślami — na ulicy Kruczej,
A w snach mnie wita szara Koszykowa.

I wąska Szczygła, ponura Bednarska,
Wolska w podziwisku czerwonych tramwajów,
Ruchliwe Leszno, krzykliwa Rymarska,
Groźne Powiśle ukwiecone w maju.

I Czerniakowska z kuchennych piosenek,
I Sienna w ośmie gazowych latarni,
I Agricola u zbroza Łazienek,
I Świętokrzyska w kurzu antykarni.

Gdy góry Persji, gdy Śródziemne morze,
Gdy nowoczesne oglądam stolice,
To najpiękniejsze i z każdym dniem droższe
Są mi warszawskie — te brzydkie — ulice.

Wiem, po latach na nowo powstaną
Na zgłiszczach spalonych wrześnieją klęską
Stokroć wspanialsze! — lecz już nie te same
I tak dlatego ogromnie mi tęskno.

Te dwa czynniki ukształtowały umysł i ciało żołnierza brytyjskiego, który wychowany w duchu dalekim od germańskiego fanatyzmu, okazał się co najmniej równie groźnym przeciwnikiem w walce.

Jako wynik przedstawionych tu rozważań nasuwa się kwestia, czy i o ile szkoła, ucząc i wychowując, może przejąć i ewentualnie ułatwić i przygotować późniejsze zadania wojska. Naturalnie, do tej sprawy podchodzę z polskiego punktu widzenia.

Można za podstawę rozumowania przyjąć, że jak zawsze tak i po wojnie wcześniej czy później nastąpi okres stabilizacji, zezwalający na demobilizację i rozpoczęcie zupełnie normalnego, pokojowego życia. Mimo najpobożniejszych życzeł nie należy liczyć, aby tym razem zapanował wieczysty pokój i raczej, licząc się z niezmiennością natury ludzkiej, trzeba go będzie utrzymywać jak najdłużej, w myśl dobrej rzymskiej zasady. Może nauka i wiedza zastąpią z czasem warunki bezpieczeństwa, które dotychczas zapewniała siła zbrojna, ale i wtedy liczyć się trzeba z redukcją częściową, a nie całkowitą wojska.

Okres ten, który przeznaczony będzie na odbudowę i budowę całego życia w państwie, w dziedzinie wojskowości może wprowadzić stan podobny do tego, jaki istniał w Niemczech po 1918 r. Utrzymując silne lotnictwo i potrzebną marynarkę, armię lądową można ograniczyć do stanu kadrowego. Jeżeli chodzi o poziom takiej kadry, która przez szereg lat na wszystkich szczeblach będzie pracować nad własnym wyszkoleniem, to bezwarunkowo wartość jej wzrośnie niepomierne. Małej zawodowej armii nawet nie bogate państwo jest w stanie zapewnić warunki nowoczesnego rozwoju w większym stopniu, niż dużej armii poborowej.

Jeżeli zajdzie potrzeba, podyktowana sytuacją polityczną, potwierdzona wiadomościami własnego wywiadu, który w tym wypadku jeszcze bardziej potęguje swoje ogromne znaczenie, to wtedy czynniki upoważnione do tego wprowadzają zawieszony czasowy powszechny obowiązek służby wojskowej i rozpoczyna się normalne szkolenie z poboru. Decydować o tym mają nie koniecznie względy bezpieczeństwa wojskowego, gdyż stan taki prowadziłby do precedensów. Pobór rekruta może być wstrzymany na pewien czas z powodów czysto ekonomicznych, lub nawet wojskowych, takich jak np. konieczność przygotowania nowych i nowoczesnych kadr zawodowych. Ta kwestia należy do zagadnień innego typu, podają to tylko dla niezbędnego dla sprawy oświecenia.

Tak czy inaczej, ten sposób przygotowania armii uważałbym za bardziej ekonomiczny, jeżeli nie w znaczeniu sumy zaoszczędzonych, to zawsze w znaczeniu osiągnięcia doskonałej wartości dowódcy i instruktora, co nie jest rzeczą drugorzędą.

Kadra ta potrafiłaby w szybkim czasie wyszkolić odpowiednie kontyngenty, jeżeli

rekrut, mający przyjść do wojska, stałby na odpowiednim poziomie fizycznym, umysłowym i wychowania obywatelskiego. Podane trzy warunki nie stoją w kolejności ich znaczenia, gdyż dla wojska każdy z nich jest jednakowo pierwszy.

Naturalnie, że kierownictwo wojskowe musiałoby współdziałać z władzami oświatowymi. Nie w tym znaczeniu, aby do szkoły wprowadzać musztrę lub posady nauczycielskie obsadzać wojskowymi. Współpraca ta polegałaby na wzajemnym informowaniu się o kierunku wychowawczym, o tych czy innych brakach, na udzielaniu szkole przez wojsko pomocy takiej, jak organizowanie życia sportowego, organizowanie kursów technicznych, samochodowych, radiowych i t. p. Naturalnie, że z punktu widzenia interesów wojska największą wartość przedstawia techniczna szkoła zawodowa, która z racji swego zadania zajmuję się tymi rzeczami. Chodzi mi jednak właśnie o zwykłą szkołę powszechną, nawet o szkołę wiejską. Chodzi o to, aby jak najwięcej młodzieży obojga płci umiało patrzeć na aparat radiowy i silnik jak na coś zupełnie możliwego do pojęcia.

Stan ten jest możliwy do osiągnięcia. To nieprawda, że chłop polski jest antytalentem technicznym. On tylko bardzo mało miał z techniką do czynienia. Kto obserwował wieś, tego nieraz zdumiewała pomysłowość rozmaitych wynalazków. Zwykli kowale wiejscy byli nieraz wprost genialnymi wynalazcami. Te rzeczy, które we Francji lub na wyspach Wielkiej Brytanii wykonywują tylko specjalne zakłady, robione były w Polsce domowym sposobem. Potrzeba była dla nas od lat nauczycielką radzenia sobie samemu.

Na podstawie dyskusji z wieloma instruktorami wojskowymi twierdzą, że kwestia ta możliwa jest do rozwiązania. Instruktorzy w wojsku nie skarżą się na brak zdolności, przeszkodą w osiągnięciu wyników jest raczej ogólnie niski poziom dyscypliny zbiorowej i brak poczucia osobistej odpowiedzialności.

Naturalnie sprawa przybiera zupełnie inne tło, jeżeli chce się nauczyć czegoś analfabety lub półanalfabety.

Nasuwa się pytanie, kiedy szkoła ma tego wszystkiego uczyć? I tu uważam za słuszne podtrzymanie projektu całodziennych zajęć szkolnych.

Zdaję sobie sprawę z olbrzymich trudności finansowych, jakie stan taki pociąga. Ale uważam, że nie ma takich ofiar, których nie należałoby ponieść dla odrodzenia całych pokoleń nowych obywateli. Polska, jedna z najbiedniejszych w Europie, mogła się zdobyć na reformę Komisji Edukacyjnej w epoce, gdzie tak mało było zrozumienia dla podobnych zagadnień i tak trudno o potrzebne na to fundusze. W miarę czasu trudności by malały, kapitał wracał by się stokrotnie.

Są jeszcze inne, nie mniej ważne powody dla poparcia takich projektów.

Po pierwsze, dziecko polskie w ogromnym procencie było odżywiane niedostatecznie, co bardzo odbijało się na jego późniejszej wartości tak fizycznej, jak i psychicznej.

Pamiętam przed wojną odczyty prof. Jaksy-Bykowskiego, porównyujące stan fizyczny młodzieży szkół amerykańskich, angielskich i naszych. Analogiczne zresztą wnioski wysuwane były co do poziomu umysłowego. Obserwacje, dokonane w czasie „turytyki”, ostatnio uprawianej, przekonały mnie o stuprocentowej słuszności poglądów prof. Bykowskiego.

Jeżeli nie każde dziecko może być odpowiednio dożywione w domu, to musi i powinno być dożywione w szkole przez państwo, dla którego ma w przyszłości pracować i którego ma bronić. Inicjatywa organizacji charytatywnych powinna być z tej dziedziny stanowczo usunięta. Sprawa jest zbyt ważna, aby łączyć ją za pomocą ćwierćśrodków.

Po drugie przemawiają za tym względy wychowania. Istnieją wypadki, gdzie ojciec i matka pracują poza domem. A nawet jeżeli i taka ewentualność nie zachodzi, to czy zawsze dziecko ma w domu odpowiednią atmosferę wychowawczą i odpowiednie warunki? Jak często dziecko właśnie w szkole znajduje gośdiny odpoczynku.

Objaw ten należałoby w pełni wykorzystać tak dla nauki, jak i wychowania.

Najważniejszą przeszkodą w rzeczywistnienu wszystkich tych projektów poza względami materialnymi, które moim zdaniem zawsze dadzą się rozwiązać, jest brak odpowiedniego personelu nauczycieli i wychowawców. Problem ten jest zresztą równie aktualny dla wojska. Aczkolwiek sytuacja zawodowych wojskowych w Polsce nie była tragiczna, jak sytuacja nauczycieli, to jednak daleko było w tej dziedzinie do doskonałości.

Wychowawca w wojsku i w szkole ma tę samą trudną i ważną pracę. Ich znaczenie w ustroju państwowym jest zupełnie jednakowe. Od jednego i od drugiego wymaga się: charakteru, wiedzy i poświęcenia. Wszystkie najwyższe zalety, żadnych wad ani błędów ludzkich. Za osiągnięcie takiego ideału nie można płacić jedynie słowami o ideałach. Rola tych dwu czynników powinna być ustawowo postawiona na pierwszym planie i odpowiednio wynagrodzona przez Państwo i Społeczeństwo.

Należy im postawić wymagania jak najwyższe — ale trzeba zato dać poszanowanie prawa i godności osobistej, oraz odpowiednie warunki materialne.

IRENA KEJLIN

PERSPEKTYWY WŁOSKIE

Paolo Treves. Italy. Yesterday, Today, Tomorrow. London, Victor Gollancz, 1942. Str. 128.

Carlo Sforza. The Real Italians. A Study in European Psychology. New-York, Columbia University Press, 1942. Str. 154.

Count Carlo Sforza. The Totalitarian War and After. London, George Allen & Unwin, 1942. Str. 78.

Perspektywy włoskie jeszcze wciąż są niepokojące w swej nieokreśloności. Początkowo wypadki potoczyły się z niebywałą szybkością: w ciągu niewielu dni wykreślono jakby 20 lat z życia państwa i narodu. Łatwość, z jaką to zostało dokonane, zdawała się wróżyć jak najlepiej o przyszłym rozwoju wypadków. A jednak — upłynęło już tyle miesięcy, a na włoskiej arenie politycznej nie zdarzyło się nic decydującego.

W tej sytuacji, gdy możliwe są jak najróżniejsze rozwiązania, ciekawe może być za-

mierzonych przesadnie doszukiwano się najdrobniejszych przejawów rozkładu wewnętrznego we Włoszech: nieporozumień w łonie partii faszystowskiej, poufnych wypowiedzi księcia Umberto, nastrojów społeczeństwa i innych prawdziwych lub urojonych faktów, z którymi łączono nadzieje na rychły upadek faszyzmu.

Treves ostrzegał państwa demokratyczne przed tym „wishfull thinking”, przed żłudną nadzieją, że ustroj faszystowski mógłby się rozpaść bez nacisku z zewnątrz. Nie ma bowiem we Włoszech czynnika, zdolnego do stanowczej akcji.

Spółeczeństwo, które przez swą niedojrzałość polityczną dopuściło faszyzm do władzy, po 20 latach jego rządów jest — według Trevesa — tym bardziej niezdolne do samodzielnej postępowania. Jeśli można nawet przyjąć za pewnik, że większość społeczeństwa nie jest faszystowska, nie oznacza to bynajmniej, że jest ona antyfaszystowska. Watykan, jak zawsze, prowadzi politykę wycofania. Król jest starym, zmęczonym człowiekiem, słabym fizycznie i moralnie, nieuleczalnym neurastenikiem, który w okresie po pierwszej wojnie światowej ułak się odpowiedzialności za rozwój wypadków i chętnie powitał kogoś, kto chciał mu ją zdjąć z pleców.

Zostaje armia. W armii jedynym człowiekiem, na którym można oprzeć nadzieje — proroczo przewiduje autor — jest marszałek Badoglio. Nie jest faszystą, ale — ostrzega Treves — nie jest on w ogóle politykiem. Jest tylko żołnierzem i całe jego credo polityczne sprowadza się do wierności królom.

Podczas „marszu na Rzym” Badoglio podjął się przywrócić natychmiast porządek, lecz król odmówił wydania odpowiedniego rozkazu. Badoglio był więc posłuszny rozkazom Mussoliniego — bo jego król nadał faszystowskiej „rewolucji wstecz” pieczęć legalizmu.

Bieg wypadków pokazał, że alianci nie ograniczyli się do „wishfull thinking”, lecz pokonali przeciwnika na polu walki. Pokonali dzięki przewadze militarnej i wierze w ideały, o które walczą. Treves przyznaje: „Włoscy żołnierze walczyli źle, gdyż nie można wygrać wojny w oparciu o ideały wyłącznie negatywne. A faszyzm, ruch destrukcyjny, nie wytknął im żadnego pozytywnego celu”.

Dziś, gdy Włosi są naszymi kombatantami, chciałoby się wierzyć, że będą walczyć inaczej — o wspólne ideały wolności. Ocena Trevesa nie uprawnia nas jednak do takiego optymizmu. „Polityka ustępstw, uprawiana od lat przez państwa demokratyczne, zasugerowała narodowi włoskiemu skuteczność metod faszystowskich, rozczarowała masy i podważyła wiarę w żywotność demokracji... Jedyne, co narodowi włoskiemu dał faszyzm, to pogarda dla demokracji”.

A rząd Badoglio — księcia Addis-Abeby, „marszałka gazu musztardowego” — nie może natychmiast narodu włoskiego wiarę w utracone ideały, nie może wydobyć go z inercji. Wieko w nienawiść do Niemców i okrucieństwa hitlerowskie, popełniane na ziemi włoskiej, mogą co najwyżej zjednoczyć naród we wspólnym wysiłku wypędzenia wroga z granic państwa. Ale to nie wystarczy — i znów powstaje pustka, próżnia polityczna, która pozwolić może na dojście do władzy jakiejś nowej odmiany faszyzmu.

„Unikajcie półśrodków. Półśrodki wywołują odwroty!” — apeluje więc Treves do państw sprzymierzonych, ilustrując swą myśl nieskutecznością połowicznie i niefortunnie stosowanych sankcji w okresie wojny abisyńskiej.

„Unikajcie półśrodków” — woła Treves — „Obudźcie naród włoski, zniszczcie ostatnie bastiony faszyzmu w Europie”.

Rzeczywiście Badoglio zniósł faszystowski hymn, sztandar i odznaki, rozwiązał organizację, aresztował faszystowskich przywódców, ale nie potrafił on wytknąć żadnego pozytywnego celu przed narodem włoskim, rozczarowanym i rozgoryczonym doświadczeniem ostatnich lat.

„Obudźcie drzemające w społeczeństwie włoskim prawdziwie demokratyczne elementy! Powołajcie na arenę polityczną starych włoskich bojowników o wolność!” kończy swój apel Treves.

Na powierzchni wydarzeń włoskich wypłynęło natychmiast po upadku Mussoliniego stare nazwisko hrabiego Carlo Sforza. Jako „człowiekowi prywatnemu” umożliwiły mu Stany Zjednoczone przyjazd z Nowego Yorku na uwolnione terytorium włoskie. Niewątpliwie Sforza to już obecnie „czynnik miarodajny”. Także nadzieje niektórych włoskich demokratów są obecnie związane z tym naz-

wiskiem. Zainteresowanie muszą więc obudzić dwie jego książki, napisane już podczas wojny, z których możemy dowiedzieć się o jego obliczu politycznym i — co jest nie mniej ważne — o jego osobowości.

Sylwetka, jaka nam się zarysowuje na podstawie tych książek, jest bezspornie ciekawa. Widzimy przed sobą człowieka o dużej kulturze, znawcę historii, smakosza literatury, wytrawnego dyplomata starej szkoły. Grono przyjaciół Sforzy jest również doborowe. Przesuwają się przed nami postaci już historyczne: „Mój serdeczny przyjaciel, książę Baderński” (ostatni kanclerz cesarstwa niemieckiego). „Podczas moich długich spacerów z księciem Aleksandrem (późniejszym królem jugosłowiańskim)...” „Mój stary przyjaciel, hrabia Teleki...” Do grona swych przyjaciół zalicza Sforza również światowej sławy uczonego włoskiego, Benedetto Croce.

Warto zaznaczyć, że Sforza często podkreśla arystokratyczne pochodzenie lub kłótnie ludzi, o których pisze. Przecistawiając np. Bismarckowi Hitlerowi, mówi: „Bismarck, należący do starej feudalnej rodziny, dumny był ze swego nazwiska. Hitler, aby mógł być z czegośkolwiek dumny, musiał się upoić wagneriańską polityką”. Pisząc o Alfierim, wymienia nawet rodowód... rozwiedzionego męża jego kochanki. Nuta ta wielokrotnie powtarza się w jego książce, nuta, od której raczej odwykliśmy i której nie spodziewaliśmy się znaleźć w książkach politycznych przywódcy demokratycznego XX wieku.

Poza tym, drobnym zresztą zastrzeżeniem, Sforza jest w swych wypowiedziach demokratą. Ameryka Jeffersona, Czechosłowacja Masaryka, a nade wszystko federalna Szwajcaria są dla Sforzy drogowskazem. Realizację swych ideałów ujmuje zresztą czysto uczuciowo, niesprecyzowanie i w oderwaniu od życia: zagadnienia społeczne i ekonomiczne prosto dla Sforzy nie istnieją. W dwóch książkach, przedawanych wprost bogactwem szczegółów z najroźnorodniejszych dziedzin, brak jakiegokolwiek wzmianki o kwestii robotniczej, o szczególnie ostrej we Włoszech nędzy proletariatu rolnego. Nawet mówiąc o przyszłości sfederalizowanej Europy (w marzeniach Sforzy, zhańbionej przez jakiegoś nowego Wilsona), — nie pamięta o istnieniu podziału dóbr, przemysłu czy barier celnych. Myśli tylko o stronie duchowej współżycia narodów. Ten wyjątkowo duchowy aspekt uniwersalizmu Sforzy przejawia się też przez trzykrotne powoływanie się na św. Tomasza z Akwinu, „który na osiem wieków przed Wilsonem zapewnił chciał światu pokój przez utworzenie Societas Nationum”.

Wypowiedzi Sforzy na temat faszyzmu pokrywają się ze stanowiskiem Trevesa, nie będziemy więc powtarzali identycznie prawie brzmiących tez. W jednym tylko różnią się krańcowo: podczas gdy Treves zapewnia o zupełnej tożsamości wszelkich odcieni faszyzmu, Sforza przeprowadza zasadnicze rozróżnienie między faszyzmem włoskim a hitleryzmem: faszyzm włoski pozbawiony był całkowicie historycznego uzasadnienia i poparcia w społeczeństwie. Zarodki natomiast hitleryzmu znajduje Sforza u Bismarcka. Sforza pisze: „Hitler powiedział raz tylko prawdę: „Jestem jednym z bezimiennej masy niemieckiego narodu”. Mówiąc natomiast o Mussolinim, nie możemy powiedzieć, że jest jednym z mas, jest on przedstawicielem hałaśliwej, lecz nielicznej bandy, która zawsze wyłaniała się w okresach narodowej depresji, krzycząc o Rzymskim Imperium”.

Zdanie to zahacza o ideę przewodnią historyzofii Sforzy, którą autor zresztą mgliście i niekonsekwentnie przeprowadza. Przecistawia on dwie formy życia państwowego we Włoszech: jedna — to centralizacja o tendencjach imperialistycznych, spuścizna po Cezarach, skompromitowana całkowicie przez Mussoliniego — i zawsze zębna w następstwach. (Nawiasem zauważymy trafne spostrzeżenie Sforzy, który odnosząc się zasadniczo negatywnie do tej idei, zapytuje ironicznie, jak zachowywałby się inne narody, gdyby mogły się pochwalić podobnie wielką tradycją).

Druga, przyrodzona jakby na półwyspie Apenińskim forma — to regionalizm, federalizm, oparty na wolnych miastach, który doprowadził do wspaniałego rozkwitu średniowiecznych Włoch św. Franciszka z Asyżu i Dantego. Sforza pisze: „Niesnaski i rywalizacja między miastami były mniejszym złem w zestawieniu z wspaniałymi osiągnięciami tej epoki” — zapominając, że właśnie te niesnaski prowadziły do obcych zbrojnych interwencji i były nie mniej zębne w następstwach.

Regionalizm włoski, według Sforzy, idzie w parze z głębokim, właściwym duchowi narodu uniwersalizmem: „Największe okresy naszych dziejów sięgały do wzorów nie podobnych Cezarów, lecz do uniwersalnej idei Imperium, zbudowanej wokół Rzymu i Italii, opartej na równych prawach”.

Tu spotykamy też trafne spostrzeżenie Sforzy, że tradycje końcowego rozkładowego okresu sztuki rzymskiej podjęli właściwie Niemcy: „Kolossal” było tak samo popularnym hasłem w Rzymie cesarskim, jak w Niemczech Wilhelma II.

Najwyraźniejsze u Sforzy jest jego znane od wielu lat zdecydowane i konsekwentne stanowisko proalianckie i antyniemieckie, uzasadnione nie tylko sympatiami dla ustrojów demokratycznych państw zachodnich, ale i całą linią historyczną rozwojową Włoch. Chcąc załagodzić urazę i niechęć, jaką wzbudziły we włoskich emigrantach w Ameryce słowa Roosevelta o „zdradzieckim ciosie w plecy”, zadanym przez Włochy pokonanej w 1940 r. Francji, Sforza przytacza zdanie, wypowiedziane przez włoskiego męża stanu Visconti Venosta w przeddzień wybuchu wojny franko-pruskiej: „Jeśli wojna była spowodowana atakiem Niemiec na Francję, Włochy nie mogą brać w niej udziału po stronie Niemiec, gdyż w takim wypadku byłoby nie sprzymierzeńcem, lecz płatnym mordercą”, a „zwycięstwo Niemiec byłoby niebezpieczne dla Włoch”. Słowa tego dalekowzrocznego polityka można po 70 latach zastanawiać do szalonego kroku Mussoliniego” — mówi Sforza.

Sforza jest przeciwny wszelkiej polityce aneksji. Jeśli on stanie na czele rządów, Jugosławia może być spokojna o swoje granice. Na poparcie konieczności dobrosąsiedzkich stosunków ze Słowianami Sforza nie tylko powołuje się na wypowiedzi Cavoura i Mazziniego, ale sięga nawet do — Dantego: „Czyż Dante nie wyłączał Dalmacji z Włoch, mówiąc, że zatoka Quarnero zamyka Italię?”

Sforza nie pomija problemów polskich. Znajduje ostre słowa potępienia dla bezprzykładnej napaści niemieckiej na Polskę we wrześniu. Daje swe błogosławieństwo przyszłej federacji polsko-czeskiej, wyrażając przy tym nadzieję, że „Polska jutro będzie oczyszczona z reakcyjnych elementów, które nią rządziły przed wojną”. Sforza jest pełen uznania dla historycznej tradycji Polski, pisząc: „Polska w okresie Jagiellonów rozszerzała swe granice nie przemocą, lecz za pomocą wzajemnych układów z innymi ludami, stwarzając nie jednolite państwo — jak tego usiłowali później dokonać dziesięć pułkownicy przed klęską w 1939 r., lecz federację, gdzie każda narodowość była zadowolona ze swego losu, a Rusini zwykli mówić o sobie: „Gente Rutheni, natione Poloni”.

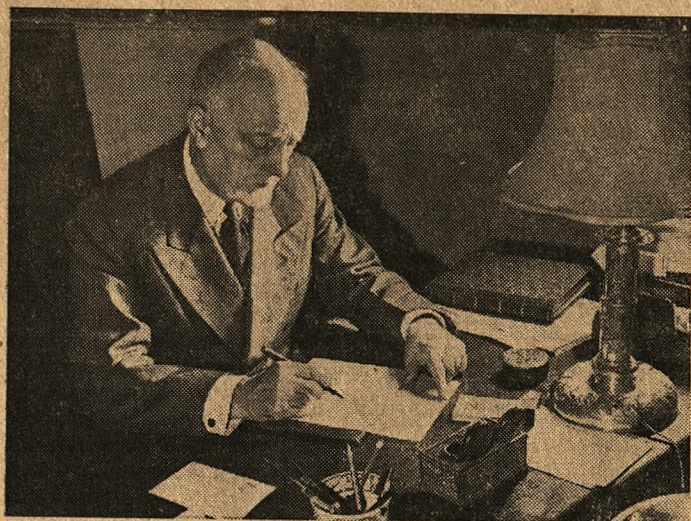
W innym natomiast zdaniu, niepokojącym w obliczu obecnej sytuacji, wykazuje Sforza niezrozumienie współczesnych spraw polskich, pisząc (przed przystąpieniem Rosji do wojny!): „Program Hitlera jest oczywisty: zaspokoić Rosję, pozwolić jej odebrać stare rosyjskie (!) terytoria, które Polska nieostrożnie zaanektowała (!) po swoim zwycięstwie nad sowieckimi armiami w 1920 r.”.

Jakiż jest stosunek Sforzy do monarchii? Jak wynika z ostatnich wywiadów prasowych, żąda on obecnie abdykacji króla, ale nie jest bynajmniej przeciwnikiem republiki. Popierając dynastię sabaudzką, kontynuuje tradycje Cavoura, a nie Mazziniego. W książkach jego jest tylko jedno zdanie, odnoszące się do tego problemu: „Wątpliwe, czy po potwornych wypadkach tej wojny ustroje monarchiczne zachowają dość siły wyobraźni i wiary w przyszłość, aby stworzyć atmosferę solidarności i optymizmu. Europa jest dojrzała dla idei bardziej wzniosłych”. A więc Sforza nie wierzy w siłę żywotną monarchii. Dlaczego więc teraz, gdy nastąpił tak odpowiedni moment historyczny — nie zajmuje pozycji wyraźnie republikańskiej? Czyżby i on także bał się „anarchii”, on, który narównie z Trevesem zwalcza fałszywą legendę o niebezpieczeństwie bolszewizmu we Włoszech po wojnie poprzedniej — jako całkowicie sprzeczne z duchem włoskim? Czy może dlatego odstępuje od swojej linii wytyczonej, że chodzi mu o zachowanie ciągłości tradycji? A może uważa za konieczne przeciwstawienie się i w tej dziedzinie polityce Mussoliniego, który głosi teraz hasło republikańskie? Albo poprostu stary Carlo Sforza nie czuje się już na siłach by walczyć o idee republikańskie.

Można wątpić, czy Carlo Sforza będzie rzeczywiście mężem opatrnościowym Włoch, o którego zjawieniu się marzy Treves. Rządy Carlo Sforza mogą być tylko przejściowym stadium, o ile upadek Mussoliniego ma stać się dla Włoch prawdziwym przewrotem duchowym, prologiem do głębszych przeobrażeń społecznych. Do tego celu nie wystarczy bowiem ślizganie się po politycznej powierzchni zdarzeń, a konieczne jest przeoranie ostrym piugiem gleby społecznej i ekonomicznej. W naszych czasach — jest to jedyna droga do prawdziwej i trwałej demokracji.

I dlatego dziwić się można, dlaczego milczą radykalni demokraci, dlaczego milczy „Guistizia e Liberta”, dlaczego nie objawia się działalność socjalistów, towarzyszy ideowych Trevesa, którzy w podziemnym jeszcze piśmie, wydanym w przeddzień niemal upadku Mussoliniego („Terza Fronte”) ogłosili tak rewolucyjny program. Czyżby tak dalece paraliżująco działały na nich aparat „Amgotów”, zastępujący się w swych posunięciach wciąż koniecznościami wojennymi.

Z głębokim i uzasadnionym niepokojem patrzą demokraci włoscy (i nie tylko włoscy) w przyszłość...



CARLO SFORZA

poznanie się z poglądami znanego socjalisty włoskiego Paolo Trevesa (syna przywódcy włoskiej Partii Socjalistycznej, Claudiusa Trevesa).

Treves daje nam w swej książce przede wszystkim wnikliwą analizę faszyzmu włoskiego:

„Faszyzm włoski był jednym z wielu ruchów powojennych, który mógł, podobnie jak inne, zapaść się w nicłość, mógł zostać zdławiony w zarodku zdecydowanym oporem rządu i społeczeństwa. Lecz społeczeństwo, monarchia, rząd i parlament kolejno popełnili samobójstwo...”

„Dojście do władzy faszyzmu nastąpiło nie dzięki jego własnym istotnym walorom, dynamizmowi czy porywającej doktrynie, lecz jedynie dzięki bezwzględności społeczeństwa. I tu tkwi wielka wina narodu włoskiego”.

Autor nie poprzestaje jednak na stwierdzeniu winy Włochów. Krytykuje on także pobłażliwość państw demokratycznych dla totalizmu, walczy ze złudzeniem, że faszyzm jest tylko sprawą wewnętrzną danego kraju, formą rządów, na którą nikt z zewnątrz nie ma prawa wpływać... „Faszyzm oznacza wojnę” — ostrzegał świat stary przywódca socjalistyczny, Turati, na międzynarodowym Kongresie Socjalistycznym we Wiedniu już w r. 1931!... — przypomina Treves.

Treves walczy w swej książce z mitem „dobrego” faszyzmu włoskiego i z legendą Mussoliniego. Ubolewa, że propaganda włoska była niezwykle skuteczna, skuteczniejsza od hitlerowskiej, bo docierała nawet do przeciwników faszyzmu. Przeciętny czytelnik gazet, uważający się za demokratę i antyfaszystę, brał mimo wszystko za dobrą monetę slogany, ukute przez prasę. Do dziś, gdy dawno odkryto się prawdziwe oblicze faszyzmu, przeciwstawia się włoski „łagodny”, „nieszkodliwy” faszyzm — nazizmowi. Trevesa oburzają twierdzenia o tym, że Mussolini był dobrodziejstwem dla Włoch, bo rozbudował autostrady i miasta, nauczył porządku i ocalił kraj od anarchii.

„Osiągnięcia Mussoliniego wznuszały do łez zagranicznych korespondentów, bo nie zastanawiali się nad tym, że każdy régime buduje drogi, gmachy i mosty; pociągi przybawają punktualnie także i w innych krajach, w których nie ma dyktatorów, a plan osuszenia bagien Pontyńskich został opracowany jeszcze przed Mussolinim” — odpowiada autor wielbicielom krzepy i prężnej organizacji państw faszystowskich. „Nie istnieją różne faszyzmy, dobre, gorsze, lub złe; jest tylko jeden faszyzm, a jedynym jego celem jest zdobycie świata”. Ostrzeżenie Trevesa nadal jest pełne znaczenia wobec potencjalnego niebezpieczeństwa, jakie stanowią inne „łagodne” faszyzmy Europy — od Lizbony, poprzez Madryt i Vichy — do Bukaresztu.

Najciekawsza, oczywiście, jest ostatnia część książki („Jutro”), poświęcona analizie przyszłości. Treves pisał swą książkę w okresie zwycięstw Rommla, gdy w obozie Sprzy-

Wiosną 1922 rozesza się po Włocławku wiadomości, że Janicki wydzierżawił aptekę w Żychlinie i że wkrótce wyjeżdża tam z całą rodziną. Jedni dziwili się, skąd wziął pieniądze na kaucję, inni wspominali „z rozrzewnieniem niedawne (— a który myślał, że ostatnie!) wielkanocne mazurki pani Janickiej.

Do Żebrowskich przyniosła wielką nowinę panna Stasia, gdy — jak co miesiąc — krążyła od domu do domu, ściągając składowki na Czerwony Krzyż.

— Wyjeżdżają zaraz po św. Janie, niech tylko zaczyna się wakacje w szkołach. Stary Baranowski już rozgląda się za nowymi lokatorami.

Wiadomość przeszała bez wrażenia. Profesor Żebrowski roznosił dalej książki, pani Bronisława otwierała, jak gdyby nigdy nie, szufladę od biurka.

— Nie powiedziała ani słowa — opowiada podniecona panna Stasia w następnym domu, jakby Janiccy byli jej wrogami. — Ci Żebrowscy zawsze tacy. Widać myślał, że ich Pan Bóg z lepszej gliny ulepił. A każdy wie, że on jeszcze niedawno za grypiółką na koleś wieśnickiej służył, a profesorem został dopiero jak do Włocławka przyjechał. On nawet człowiek nie najgorszy, to tylko ona takie fasony odstawia. Że to niby nie ją nie obchodzi, że państwo Janiccy wyjeżdżają...

I pobiegła do szufladki, suchotniczych akacji, wymijając kauluze i wyboje.

Brzeska, w kierunku katedry, ciągnął sznur kłeryków, parami, ze spaceru. Pan Górski, weteran z polskiego powstania, stał przed sklepem kuśnierza, bacznie obserwując barometr. Miało się na pogodę: gliniana figurka zakonnika opuściła małątkę celkę i dowodziła niemal do stóp krzyża, co nie zdarzyło się już od wielu tygodni, co niechybnie oznaczało duży okres pogody. Pan Baranowski otworzył drzwi sklepu naoszczęd, widać było u ulicy, jak układał skórkę karakulowe w gębochich szufladach, przespływając je obficie naftalina.

Kazio Wichrowski pełną parą chodził, niekiedy, pojadając landrynkę. Dzień był ciepły, poświęcenię, nie sprzyjający nauce, to też nie śpieszyło mu się na lekcję do pana Żebrowskiego. Zamiast martwić się dwójką z geometrii, przysiadł się pudłowi doktora Maciejowskiego i zdumiewająco sprawnie obliczał w pamięci, że do wakacji zostało jeszcze 39 dni, w tym 6 niedziel i dwa święta.

Pan Żebrowski skończył tymczasem rozczanianie książki, spojrzał na zegarek i westchnął. Trzeba było zrezygnować z lektury i przestać się na wykład twierdzenia Pitagorasa i interpretacji dostępnej dla rozbieganej nieco wyobraźni Kazia. Podszedł do okna, otworzył je szeroko. Wydało mu się, że na dworze jest cieplej niż w pokoju.

Przed oczyma rysował się pierścień murów wewnętrznego podwórza kamienicy z szeszcianem śmietnika w dole i trójkątne białe dno nieba w górze. Od szymbel przeciwnych mieszkań odbijały się zabłąkane, jakby kradzione promienie słońca i jak smuga płasku z reflektora, błękity ukłosem przez pokój, oświetlając jasno kwadrat spokojnej tapety. Żebrowski świadomości sobie nagłe, że mieszkanie jest piwnicze i ponure. Że zupełnie nie czuje się w nim wiosny. Że — jest przecież okragły jak zimne i nieprzyjemne. Że — czegoś w nim braku. Nawet w Warszawie, w zadymionym mieszkanku na Chmielnej czerwienili się pelargonie i wiatr przynosił na balkon suknie, szleszczące motylki z okwitających akacji.

„Siedzę, bom przywyknął?” — dowodził ongiś ptaszek w klatce z bajki Kraskiego. To — nie była klątka. To było własne mieszkankie, do którego wchodziło się po lekcjach w polskim Gimnazjum Kujańskiej, a nie jak dawniej, z Wydziału Taryfowego Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, gdzie dzień dzisiejsze pokolenie...

Kazio starał się tymczasem robić jak najlepsze wrażenie. Siedział przy wystroju, skupiony, nasłuchując brzęczenia muchy w kieszeni. Czas duży! się niemilosiernie. Żebrowski wpatrywał się uparcie w kreślenie Kazia, żywcem ściągnięte z zeszytu kolegi.

— Tak, — powiedział wreszcie. — Jakoś to nie wychodzi. Za moich lat szkolnych twierdzenie Pitagorasa nazywaaliśmy „mostem osów” — „pons asinorum”. Ciężko ci będzie budować mosty w przyszłości, jeśli nie przebrniesz teraz przez ten pierwszy, zasadniczy.

Kiedy, proszę pana, posra, ja nie chcę się dalej uczyć. Ja nie chcę być inżynierem. Ja chcę być na koleji, jak ojciec. Ja nigdy nie zrozumiałem tego wszystkiego. To jest okropnie. Okropnie było także i to, że w odruchu rozpaczę ze zgniecionego przypadkiem pudełka, wyleciała pośpiesznie zmaltretowana, napół oślepiona mucha i — brzęcząc — obijała się zaczęła o szyby i ściany.

Lekcja nie kleiła się stanowczo. Stary dał jakby za wygraną, odożył zeszty, wyciągnął kolorowe ołówki, papier, pomyślał chwilę, szukał zaczął czegoś w szufladzie i — wydobył tabliczkę czekolady.

— To na później, — powiedział, — teraz potrzebny nam będzie „srebrny” papier.

Obaj zaczęli wycinać, jak w przedszkolu. Trójkąt. Kwadrat. Mierzylły kąt, boki, przykładał, sprawdzali. Wszystko się zgadzało. Stary Pitagoras miał rację. Kazio orzekł, że — już rozumie i że nigdy nie myślał, że to takie proste. „Spodobał mi się widok Greków powiewających znów, jak standard wiedzy z gębi zamierzchłej starożytności, a czekolada znikała w chęściach łakomej paszczy.

— Przyjdź jutro, chłopcze. I przychodź codziennie w Zielone Świątki. Mamy dużo do nadrobienia, a ja mam właśnie sporo wolnego czasu.

Było to, mówiąc szczerze, dalekie od praw-

sennie po drzwiach. Był to wspaniały okaz, wart zachodu. Polowanie trwało krótko. Owad, złapaný z maścią żręcznością, brzęczał już po chwili w kieszeni, obijając się beznadzie o ścianki pudełka od zapalek.

Dużej, niestety, nie można było już zwieka. Kazio zadzwonił lekko, po chwili cichej na dziei, że — a nuż — służąca nie posłysz.

Bestia miała jednak diabelski słuch i wysko-

czyła natychmiast ze szowami:

— Co to kawaler dziś tak późno?

Kazio uznał, że nie warto odpowiadać. Wyprostował się, przeszedł Łodzie na wylot zimnym jak stal spojrzeniem i bohatercko przemaszzerował przez korytarz.

Profesor stał jeszcze przy oknie, pograżony w myślach, co wydało się Kaziovi zdecydowanie zbyt wrożbę. Stary był widać nie w łub-

morze, będzie mułdzi i ciężały się wszystkiego.

Żebrowski odwrócił się jednak ze szowami

„A to ty, biedaku!” i z życzliwym uśmiechem

— Będzie brał na ambit — pomyślał Kazio

podejrzliwie.

Żebrowski przeglądał kartkę po kartce od początku kajetu. Z masy kleksów i koślawych rysunków odsłaniało się jasno, że proste prawdy Euklidesa przenikały opornie do Kaziowego umysłu.

Przed oczyma Żebrowskiego migieła twarz maszynisty Wichrowskiego, ojca chłopaka. Znał go z kursów wieczorowych sprzed wojny. Stary uczył się, przyszedł, by — jak mówił — dzieci nie potrzebowały się wstydić

ojca Marzy, by syn został inżynierem. Chłopak jednak lenił się, groziło mu zostanie na drugi rok. Na korepetytora nie było pieniędzy. To też gdy Żebrowski zaofiarował się z bezpłatnymi lekcjami, „po starej znajomości”, stary młotał się począł między nadzieją a czarną rozpaczą, między gniewem a rozczuleniem. Dziękował niezdarnie, głośno, przysięgał blisko, jakby nawet w pustej klasie przedkrykiwał trzeba było żosłot kół. Jak ludzie żyjący w ustawicznym zrywaniu i łasiu, wpatryjąc się w twarz mówiącego, by z jej wyrazu i ruchów usł lepiej zrozumieć znaczenie słów. Znać było na him, że dwadzieścia lat pracopawia na koleś. Tik parowozowy jest tak samo charakterystyczny, jak marynarski: mało jest miejsca w maszyni, podłoga biega rytmicznie w prawo i w lewo, stać trzeba mocno, na szeroko rozstawionych nogach. Ciągłe wypatrywanie sygnałów wyciąga twarz ku przodowi, czoło marszczy się gęsto, brwi zwisają nad oczyma.

Jakoś się jeszcze trzymam, panie Żebrowski, ale chcę mieć, żeby chłopak miał lepszą interpretację, dostępnej dla rozbieganej nieco wyobraźni Kazia. Podszedł do okna, otworzył je szeroko. Wydało mu się, że na dworze jest cieplej niż w pokoju.

Przed oczyma rysował się pierścień murów wewnętrznego podwórza kamienicy z szeszcianem śmietnika w dole i trójkątne białe dno nieba w górze. Od szymbel przeciwnych mieszkań odbijały się zabłąkane, jakby kradzione promienie słońca i jak smuga płasku z reflektora, błękity ukłosem przez pokój, oświetlając jasno kwadrat spokojnej tapety. Żebrowski świadomości sobie nagłe, że mieszkanie jest piwnicze i ponure. Że zupełnie nie czuje się w nim wiosny. Że — jest przecież okragły jak zimne i nieprzyjemne. Że — czegoś w nim braku. Nawet w Warszawie, w zadymionym mieszkanku na Chmielnej czerwienili się pelargonie i wiatr przynosił na balkon suknie, szleszczące motylki z okwitających akacji.

„Siedzę, bom przywyknął?” — dowodził ongiś ptaszek w klatce z bajki Kraskiego. To — nie była klątka. To było własne mieszkankie, do którego wchodziło się po lekcjach w polskim Gimnazjum Kujańskiej, a nie jak dawniej, z Wydziału Taryfowego Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, gdzie dzień dzisiejsze pokolenie...

Kazio starał się tymczasem robić jak najlepsze wrażenie. Siedział przy wystroju, skupiony, nasłuchując brzęczenia muchy w kieszeni. Czas duży! się niemilosiernie. Żebrowski wpatrywał się uparcie w kreślenie Kazia, żywcem ściągnięte z zeszytu kolegi.

— Tak, — powiedział wreszcie. — Jakoś to nie wychodzi. Za moich lat szkolnych twierdzenie Pitagorasa nazywaaliśmy „mostem osów” — „pons asinorum”. Ciężko ci będzie budować mosty w przyszłości, jeśli nie przebrniesz teraz przez ten pierwszy, zasadniczy.

Kiedy, proszę pana, posra, ja nie chcę się dalej uczyć. Ja nie chcę być inżynierem. Ja chcę być na koleji, jak ojciec. Ja nigdy nie zrozumiałem tego wszystkiego. To jest okropnie. Okropnie było także i to, że w odruchu rozpaczę ze zgniecionego przypadkiem pudełka, wyleciała pośpiesznie zmaltretowana, napół oślepiona mucha i — brzęcząc — obijała się zaczęła o szyby i ściany.

Lekcja nie kleiła się stanowczo. Stary dał jakby za wygraną, odożył zeszty, wyciągnął kolorowe ołówki, papier, pomyślał chwilę, szukał zaczął czegoś w szufladzie i — wydobył tabliczkę czekolady.

— To na później, — powiedział, — teraz potrzebny nam będzie „srebrny” papier.

Obaj zaczęli wycinać, jak w przedszkolu. Trójkąt. Kwadrat. Mierzylły kąt, boki, przykładał, sprawdzali. Wszystko się zgadzało. Stary Pitagoras miał rację. Kazio orzekł, że — już rozumie i że nigdy nie myślał, że to takie proste. „Spodobał mi się widok Greków powiewających znów, jak standard wiedzy z gębi zamierzchłej starożytności, a czekolada znikała w chęściach łakomej paszczy.

— Przyjdź jutro, chłopcze. I przychodź codziennie w Zielone Świątki. Mamy dużo do nadrobienia, a ja mam właśnie sporo wolnego czasu.

Było to, mówiąc szczerze, dalekie od praw-

MARIA DANILEWICZOWA

dy. Na biurku, na stole, na szafie nawet, piętrzyły się stosy zwojów z niedawnych leksów. Ale dopiero późnym wieczorem zasia- dał zwykły Żebrowski do ich przegłędania i do bolesnej operacji stawiania ocen. Pora przedwieczorna była dla niego najcięższym odcinkiem dnia.

Przywyki i lubił za dawnych warszawskich czasów, że po powrocie z biura witała

LUDWIK BOJCZUK

Po gazety polskie chodziło się w Bukareszcie w zimie 1940 r. do konsulatu polskiego na ulicę, nazwaną jeszcze w dobrych czasach przdiwojennej przyjaźni polsko-rumuńskiej Strada Polona Około południa, kiedy malali przejiowców natłok interesantów, można było otrzymać od kłóreżę z urzędników „strawę duchową” w postaci kilku numerów partyckiego „Głosu”, rzadziej „Wiariusza Polskiego” z Lille, czy „Narodowca” z Lens. Najlepiej jednak było, upewnivszy się uprzednio, iż żadna podejrzana figura nie pęta się w pobliżu, pójść wprost do garażu, do szofera, który z jakichś przemysłowych, jemu tylko znanych skrytek wydziełał oszczędnie polską „bibułę”.

Którędną dnia w styczniu czekałem wraz z kilku innymi amatorami drukowanego słowa, aż kierowca niezwykle flegmatycznie uwalniający od opakowania spory plik „Głosu Polskiego”, ukonczył swoją pracę, gdy nagle wypadły na ziemię trzy egzemplarze gazety inngto niż „Głos” formatu. Schyliłem się, aby je podnieść, ale szofer mnie uprzedził:

— Zaraz, panie, zaraz. Najpierw ja muszę zobaczyć, bo to coś nowego. — Przejrzał uważnie jeden egzemplarz, porównał go z dwoma innymi, poczym oddał mi ze szowami: „No, teraz niech się pan cieszy”. Stojący obok mnie pochylił się nad gazetą. Tytuł pisma brzmiał:

„POLSKA WALCZĄCA”.

Widocznie dużo już musi być naszych we Francji, skoro mają własne pismo wojskowe — ktoś powiadał. I dodał zaraz: — Dzięki Bogu, dzięki Bogu.

W taki to sposób odbyło się w garażu na Strada Polona, w stolicy Rumunii, pierwsze zetknięcie się czasopisma gromady żołnierskiej z Francji z tymi, którzy właśnie byli na wyjeździe od tejże Francji.

Ten jedyny otrzymany w Rumunii egzemplarz „Polski Walczącej” zabrałem później do obozu internowanych w Ban-Ji. Pożyłem nim kolejno przez kilka dni. On sam przeżył, aż do końca istnienia. Tej tragicznej jesieni, gdy niedawna katastrofa wrześniowa zaciążyła kamieniem na każdym polskim sercu, gromadka żołnierzy polskich z emigracji francuskiej oraz pierwszych żołnierzy-tułaczy, przybyłych z Kraju, zebrana w pierwszym obozie Wojska Polskiego w Coëtquidan w Bretanii, szukała wyjścia z sytuacji, starając się wydobyć ze siebie nowe wartości, obudzić wiarę żywą i zdolność do poświęceń. Wyrazem tych nastrojów, postanowień i przeżyć była „Polska Walcząca”, której pierwszy numer ukazał się w rocznicowym dniu 29 listopada 1939 r. Po przedziwnej i liczne usilne starania nie tylko gromadki współpracowników, ale wielu ludzi najlepszej woli, porzadziło go przezwyiczenie najrozmaitszych trudności, zanim w pobliżkim Rennes dwaj zecerzy, żołnierze z Francji, mogli stanąć przy kascie drukarskiej i wydrukować na wstępie pierwszego numeru słowa, będące wyznaniem wiary i służbowaniem całej gromady żołnierskiej:

„Święte, najświętszej, nigdy niezapomnianej pamięci Żołnierzy Polskich, poległych na placówkach Pogranicza, w oblężeniu Westerplatte i Helu, w obronie Warszawy, Modliwa i Gdyni, w walce z Niemcami i Łowem, na pobojowiskach, których nie umiemy nawać, które nazwie głosem wielkim Historia.

Pamięci, nakazującej pomstę w każdej godzinie dnia i nocy, pamięci łez i krwi kobiet i dzieci naszych, niewinnie zabitych w bombardowaniu Warszawy, Gdyni, Krakowa, Częstochwy, Białej Podlaskiej, Grudziądza, Bydgoszczy, Łwowa, Siedlec, Lublina, Krzemienia, Łomży, Otwocka, Wielunia, Białegostoku, Rzeszowa, Dębicy, Gródka Jagiellońskiego, Tarnobrzegu, Kolbuszewa, Miela, Puław, niepolconych miast, miasteczek, wsi i osiedli wsi i osiedli wsi, w całej Ziemi Polskiej, kobiet i dzieci, zaszczytnych bestialsko na otwartych szosach i w niebronionych konwojach, kobiet i dzieci dopadniętych zleniaką w pracy i ucieczce, pamięci Ich zgrozy, Ich tworzy, rozrywającej serce, zanim bie przestało, Ich

smierci, która przynależała mężom z bronią w ręku —

SLUBUJEMY ŻOŁNIERSKĄ WIERNOSĆ.

Wierna temu zobowiązaniu, złożonemu w imieniu nas wszystkich, i dziś tak jak przed czterema laty, kiedy dopalały się i gasły jedno po drugim ogniska walki wrześniowej, „Polska Walcząca” nieustannie stawia swoim czytelnikom strasliwy, ale i wspaniały obraz walczącego i krwawiego Kraju. Nie czyni tego dla ranienia serc żołnierzy, którzy pozostawili nam wszystko, co mieli najbliższego i najdroższego, ale dla ukazania niezłomnego meństwa i nieporównanej z niczym na świecie ofiarności, jakie daje nasz naród, trwający w walce, dla zahartowania woli, by nie osłabła w trudnym, się strasliwie oczekiwaniu na chwilę decydującą. To dlatego właśnie na łamach pisma żołnierskiego ogłoszono wstrząsające świadectwa meczalstwa polskiego w niemieckich obozach koncentracyjnych, opisy bohater- skich walk partyzantów, wiersze, wydane konspiracyjnie, dlatego tak często z łam „Polski Walczącej” w odczewach, przedrukach z pism tajnych przemawia Kraj głosem stłumionym, ale mocnym, na którego dźwięk czułe być musi każde polskie serce.

Z obzu w Coëtquidan, z „przewiewnego” baru C. 1. przeniosła się redakcja „Polski Walczącej” na początku r. 1940 do Paryża. Zmieniły się warunki pracy pisma, niektóre trudności — np. brak czołonek polskich w Rennes — zostały usunięte, przybywało korespondentów, rosła rzesza czytelników, w miarę jak powiększały się szeregi Wojska Polskiego. Rozwijała się także i pogłębiała współpraca z Polonią we Francji, która ofiarowała nie tylko pomoc techniczną i najgorętsze poparcie, ale dała kilkanaście tysięcy prenumeratorów i dołożyła własne pismo, „Żołnierze Polski we Francji”, które łączyło się z „Polską Walcząca” w jeden organ Polskich Sił Zbrojnych. Dla upamiętnienia olbrzymiego wkładu Polaków z Francji do sprawy organizacji polskiej sily zbrojnej na ziemi obcej i braterskiej pomocy, okazanej od samego początku „Polsce Wal-

czącej”, przetrwiała jako podtytuł zmieniona lekko wskutek dalszego biegu wypadków nazwa emigracyjnego pismenka „Żołnierz Polski na obczyźnie”.

Ta piękna, jedyna w swoim rodzaju, współpraca z emigracją, została niespodzianie przerwana w tragicznym czerwcu 1940 r., kiedy padła Francja. „Polska Walcząca” wytrwała do końca, informując rzetelnie i starając się dodać otuchy w oblężu zarysowującej się coraz wyraźniej klęski, drugiej już w ciągu pierwszego roku wojny katastrofy polskiej. Jeszcze w toku ewakuacji, w przeddzień ogłoszenia kapitulacji przez Petain’a, daremnie usiłowali redaktor wraz z resztą walczącej się co-raz wyraźniej klęski, drugiej już w ciągu pierwszego roku wojny katastrofy polskiej. Jeszcze w toku ewakuacji, w przeddzień ogłoszenia kapitulacji przez Petain’a, daremnie usiłowali redaktor wraz z resztą walczącej się co-raz wyraźniej klęski, drugiej już w ciągu pierwszego roku wojny katastrofy polskiej.

I znowu „Polska Walcząca” podzieliła los wojska i wszystkich polskich poczynai w ciągu tej wojny: musiała zaczynać pracę od nowa.

Pamiętam jak to w chłodne i dżdżyste dni naszego koczowania w szkockich lasach Tymon Terlecki, redaktor od czasów coëtquidanskich, człowiek, dzierzący podobno w armii polskiej rekord długości tego samego przydziału, spacerował po sosenach i coraz to innym kandydatom na korespondenta, dyskutując żarliwie wszystkie problemy, związane z wznowieniem pisma, i snując rozległe plany w chwili, gdy pod grozą nieuchronnej — jak się wydawało — inwazji niemieckiej żyło się, nie znając dnia ani godziny. Którędną dnia zniknął redaktor z leśnego wzgórza, ale wkrótce po tym, w rzeczywistości rekordowym czasie, bo w dniu 12 lipca 1940 r., ukazał się pierwszy „brytyjski” numer „Polski Walczącej”.

I od tej już regularnie przychodziło pismo do namiotów śródlądowych, do baraków „do, bez- czek śmiechu”, na lotniska i na okręty i nie zabrakło go nawet w tym tygodniu, w którym w londyńskich drukarni leżała nierozłożowana... bomba czasowa.

Nastroje przypominały trochę smutną jesień coëtquidanską: zmniejszona gromada

żołnierska przyszywała goręcy drugiej już lekki, znowu serca gnioła niepewność losu, znu- wu brak było wieści o kolegach, którzy walczyli we Francji. Ale powoli zaczęła się ta gromada znowu powiększać: przybyli Polacy ze Stanów Zjednoczonych i Kanady, liczne rzesze ochotników dała Polonia z Ameryki Łacińskiej, napłynęły tysiące rodaków z Rosji, a wszyscy oni mocą niepisanej, ale ściśle dotrzymywanej umowy, uczynili „Polskę Walcząca” swoim pośrednikiem. I stało się tak, że ma ona do- nieśownie na całym świecie oddanych korespondentów, że bardzo często ogłasza wiadomości, nadsyłane ze Szwajcarii, z Środkowego Wschodu, z Afryki Północnej i Zachodniej, z Kanady, Stanów Zjednoczonych, Australii, Nowej Zelandii, a nawet z Meksyku i Chile. Wszędzie też tam czytają ją nie tylko żołnierze, ale i liczne rdsze „cywilnej” Polonii, pracującej w warsztatach czy na roli dla wspólnego zwycięstwa, a prasa polska obficie korzysta z jej materiałów.

Ala nade wszystko była i jest „Polska Walcząca” wiernym i nieodstępnym towarzyszem żołnierza, marynarza i lotnika polskiego. Od chwili ukazania się pierwszego numeru po dzień dzisiejszy nie tylko czytają ją, ale i pisują do niej wszyscy, od szeregowca do generała, podpisując się jedynie nazwiskiem, bez zaznaczenia stopnia czy tytułu. Piszą o wszystkim, co żołnierz czuje i myśli, piszą o i tym, co go drażni czy boli, ponieważ „Polska Walcząca” nie zamyka swolich szpał przed sprawami trudnymi i drażliwymi. Jedno wszakże obowiązuje: atmosfera. Wojsko jest najświętszym przegajem jedności narodu w walce, w jego szeregach skupiają się wszyscy Polacy, bez różnicy wyznania, pochodzenia czy poglądów politycznych, stąd zrozumiała jest troska, by w piśmie żołnierskim przy omawianiu najdelikatniejszych nawet spraw nie używano zbyt „emigracyjnych” chwytów, których stosowanie mogłoby naruszyć jedność ideową żołnierzy. Często za to znajdują w nim wyraz swobodny i troskę o los odcierpionych od naszej pamięci i troskę o los odcierpionych od naszej pamięci. Dobre rezultaty wydała także inicjatywa n r. 1941 przez czytelników zbior- ka na rzecz pomocy dla Polaków w Rosji trwa bez przerwy i przyniosła już ponad 10-000 L, niezależnie od wszystkich innych stałych czy doraźnych składek na ten cel. Mimo iż od kilku miesięcy sprawa niesienia pomocy rodakom, pozostającym na terenie Z.S.S.R., została poważnie utrudniona, nie ustała ofiarność na ten cel i dalej płynie grosz żołnierza, który także i w ten sposób wyraża swoją nieustanną pamięć i troskę o los odcierpionych od naszej pamięci. Dobre rezultaty wydała także inicjatywa n r. 1941 przez czytelników zbior- ka na rzecz pomocy dla Polaków w Rosji trwa bez przerwy i przyniosła już ponad 10-000 L, niezależnie od wszystkich innych stałych czy doraźnych składek na ten cel. Mimo iż od kilku miesięcy sprawa niesienia pomocy rodakom, pozostającym na terenie Z.S.S.R., została poważnie utrudniona, nie ustała ofiarność na ten cel i dalej płynie grosz żołnierza, który także i w ten sposób wyraża swoją nieustanną pamięć i troskę o los odcierpionych od naszej pamięci. Dobre rezultaty wydała także inicjatywa n r. 1941 przez czytelników zbior- ka na rzecz pomocy dla Polaków w Rosji trwa bez przerwy i przyniosła już ponad 10-000 L, niezależnie od wszystkich innych stałych czy doraźnych składek na ten cel. Mimo iż od kilku miesięcy sprawa niesienia pomocy rodakom, pozostającym na terenie Z.S.S.R., została poważnie utrudniona, nie ustała ofiarność na ten cel i dalej płynie grosz żołnierza, który także i w ten sposób wyraża swoją nieustanną pamięć i troskę o los odcierpionych od naszej pamięci. Dobre rezultaty wydała także inicjatywa n r. 1941 przez czytelników zbior- ka na rzecz pomocy dla Polaków w Rosji trwa bez przerwy i przyniosła już ponad 10-000 L, niezależnie od wszystkich innych stałych czy doraźnych składek na ten cel. Mimo iż od kilku miesięcy sprawa niesienia pomocy rodakom, pozostającym na terenie Z.S.S.R., została poważnie utrudniona, nie ustała ofiarność na ten cel i dalej płynie grosz żołnierza, który także i w ten sposób wyraża swoją nieustanną pamięć i troskę o los odcierpionych od naszej pamięci. Dobre rezultaty wydała także inicjatywa n r. 1941 przez czytelników zbior- ka na rzecz pomocy dla Polaków w Rosji trwa bez przerwy i przyniosła już ponad 10-000 L, niezależnie od wszystkich innych stałych czy doraźnych składek na ten cel. Mimo iż od kilku miesięcy sprawa niesienia pomocy rodakom, pozostającym na terenie Z.S.S.R., została poważnie utrudniona, nie ustała ofiarność na ten cel i dalej płynie grosz żołnierza, który także i w ten sposób wyraża swoją nieustanną pamięć i troskę o los odcierpionych od naszej pamięci. Dobre rezultaty wydała także inicjatywa n r. 1941 przez czytelników zbior- ka na rzecz pomocy dla Polaków w Rosji trwa bez przerwy i przyniosła już ponad 10-000 L, niezależnie od wszystkich innych stałych czy doraźnych składek na ten cel. Mimo iż od kilku miesięcy sprawa niesienia pomocy rodakom, pozostającym na terenie Z.S.S.R., została poważnie utrudniona, nie ustała ofiarność na ten cel i dalej płynie grosz żołnierza, który także i w ten sposób wyraża swoją nieustanną pamięć i troskę o los odcierpionych od naszej pamięci. Dobre rezultaty wydała także inicjatywa n r. 1941 przez czytelników zbior- ka na rzecz pomocy dla Polaków w Rosji trwa bez przerwy i przyniosła już ponad 10-000 L, niezależnie od wszystkich innych stałych czy doraźnych składek na ten cel. Mimo iż od kilku miesięcy sprawa niesienia pomocy rodakom, pozostającym na terenie Z.S.S.R., została poważnie utrudniona, nie ustała ofiarność na ten cel i dalej płynie grosz żołnierza, który także i w ten sposób wyraża swoją nieustanną pamięć i troskę o los odcierpionych od naszej pamięci. Dobre rezultaty wydała także inicjatywa n r. 1941 przez czytelników zbior- ka na rzecz pomocy dla Polaków w Rosji trwa bez przerwy i przyniosła już ponad 10-000 L, niezależnie od wszystkich innych stałych czy doraźnych składek na ten cel. Mimo iż od kilku miesięcy sprawa niesienia pomocy rodakom, pozostającym na terenie Z.S.S.R., została poważnie utrudniona, nie ustała ofiarność na ten cel i dalej płynie grosz żołnierza, który także i w ten sposób wyraża swoją nieustanną pamięć i troskę o los odcierpionych od naszej pamięci. Dobre rezultaty wydała także inicjatywa n r. 1941 przez czytelników zbior- ka na rzecz pomocy dla Polaków w Rosji trwa bez przerwy i przyniosła już ponad 10-000 L, niezależnie od wszystkich innych stałych czy doraźnych składek na ten cel. Mimo iż od kilku miesięcy sprawa niesienia pomocy rodakom, pozostającym na terenie Z.S.S.R., została poważnie utrudniona, nie ustała ofiarność na ten cel i dalej płynie grosz żołnierza, który także i w ten sposób wyraża swoją nieustanną pamięć i troskę o los odcierpionych od naszej pamięci. Dobre rezultaty wydała także inicjatywa n r. 1941 przez czytelników zbior- ka na rzecz pomocy dla Polaków w Rosji trwa bez przerwy i przyniosła już ponad 10-000 L, niezależnie od wszystkich innych stałych czy doraźnych składek na ten cel. Mimo iż od kilku miesięcy sprawa niesienia pomocy rodakom, pozostającym na terenie Z.S.S.R., została poważnie utrudniona, nie ustała ofiarność na ten cel i dalej płynie grosz żołnierza, który także i w ten sposób wyraża swoją nieustanną pamięć i troskę o los odcierpionych od naszej pamięci. Dobre rezultaty wydała także inicjatywa n r. 1941 przez czytelników zbior- ka na rzecz pomocy dla Polaków w Rosji trwa bez przerwy i przyniosła już ponad 10-000 L, niezależnie od wszystkich innych stałych czy doraźnych składek na ten cel. Mimo iż od kilku miesięcy sprawa niesienia pomocy rodakom, pozostającym na terenie Z.S.S.R., została poważnie utrudniona, nie ustała ofiarność na ten cel i dalej płynie grosz żołnierza, który także i w ten sposób wyraża swoją nieustanną pamięć i troskę o los odcierpionych od naszej pamięci. Dobre rezultaty wydała także inicjatywa n r. 1941 przez czytelników zbior- ka na rzecz pomocy dla Polaków w Rosji trwa bez przerwy i przyniosła już ponad 10-000 L, niezależnie od wszystkich innych stałych czy doraźnych składek na ten cel. Mimo iż od kilku miesięcy sprawa niesienia pomocy rodakom, pozostającym na terenie Z.S.S.R., została poważnie utrudniona, nie ustała ofiarność na ten cel i dalej płynie grosz żołnierza, który także i w ten sposób wyraża swoją nieustanną pamięć i troskę o los odcierpionych od naszej pamięci. Dobre rezultaty wydała także inicjatywa n r. 1941 przez czytelników zbior- ka na rzecz pomocy dla Polaków w Rosji trwa bez przerwy i przyniosła już ponad 10-000 L, niezależnie od wszystkich innych stałych czy doraźnych składek na ten cel. Mimo iż od kilku miesięcy sprawa niesienia pomocy rodakom, pozostającym na terenie Z.S.S.R., została poważnie utrudniona, nie ustała ofiarność na ten cel i dalej płynie grosz żołnierza, który także i w ten sposób wyraża swoją nieustanną pamięć i troskę o los odcierpionych od naszej pamięci. Dobre rezultaty wydała także inicjatywa n r. 1941 przez czytelników zbior- ka na rzecz pomocy dla Polaków w Rosji trwa bez przerwy i przyniosła już ponad 10-000 L, niezależnie od wszystkich innych stałych czy doraźnych składek na ten cel. Mimo iż od kilku miesięcy sprawa niesienia pomocy rodakom, pozostającym na terenie Z.S.S.R., została poważnie utrudniona, nie ustała ofiarność na ten cel i dalej płynie grosz żołnierza, który także i w ten sposób wyraża swoją nieustanną pamięć i troskę o los odcierpionych od naszej pamięci. Dobre rezultaty wydała także inicjatywa n r. 1941 przez czytelników zbior- ka na rzecz pomocy dla Polaków w Rosji trwa bez przerwy i przyniosła już ponad 10-000 L, niezależnie od wszystkich innych stałych czy doraźnych składek na ten cel. Mimo iż od kilku miesięcy sprawa niesienia pomocy rodakom, pozostającym na terenie Z.S.S.R., została poważnie utrudniona, nie ustała ofiarność na ten cel i dalej płynie grosz żołnierza, który także i w ten sposób wyraża swoją nieustanną pamięć i troskę o los odcierpionych od naszej pamięci. Dobre rezultaty wydała także inicjatywa n r. 1941 przez czytelników zbior- ka na rzecz pomocy dla Polaków w Rosji trwa bez przerwy i przyniosła już ponad 10-000 L, niezależnie od wszystkich innych stałych czy doraźnych składek na ten cel. Mimo iż od kilku miesięcy sprawa niesienia pomocy rodakom, pozostającym na terenie Z.S.S.R., została poważnie utrudniona, nie ustała ofiarność na ten cel i dalej płynie grosz żołnierza, który także i w ten sposób wyraża swoją nieustanną pamięć i troskę o los odcierpionych od naszej pamięci. Dobre rezultaty wydała także inicjatywa n r. 1941 przez czytelników zbior- ka na rzecz pomocy dla Polaków w Rosji trwa bez przerwy i przyniosła już ponad 10-000 L, niezależnie od wszystkich innych stałych czy doraźnych składek na ten cel. Mimo iż od kilku miesięcy sprawa niesienia pomocy rodakom, pozostającym na terenie Z.S.S.R., została poważnie utrudniona, nie ustała ofiarność na ten cel i dalej płynie grosz żołnierza, który także i w ten sposób wyraża swoją nieustanną pamięć i troskę o los odcierpionych od naszej pamięci. Dobre rezultaty wydała także inicjatywa n r. 1941 przez czytelników zbior- ka na rzecz pomocy dla Polaków w Rosji trwa bez przerwy i przyniosła już ponad 10-000 L, niezależnie od wszystkich innych stałych czy doraźnych składek na ten cel. Mimo iż od kilku miesięcy sprawa niesienia pomocy rodakom, pozostającym na terenie Z.S.S.R., została poważnie utrudniona, nie ustała ofiarność na ten cel i dalej płynie grosz żołnierza, który także i w ten sposób wyraża swoją nieustanną pamięć i troskę o los odcierpionych od naszej pamięci. Dobre rezultaty wydała także inicjatywa n r. 1941 przez czytelników zbior- ka na rzecz pomocy dla Polaków w Rosji trwa bez przerwy i przyniosła już ponad 10-000 L, niezależnie od wszystkich innych stałych czy doraźnych składek na ten cel. Mimo iż od kilku miesięcy sprawa niesienia pomocy rodakom, pozostającym na terenie Z.S.S.R., została poważnie utrudniona, nie ustała ofiarność na ten cel i dalej płynie grosz żołnierza, który także i w ten sposób wyraża swoją nieustanną pamięć i troskę o los odcierpionych od naszej pamięci. Dobre rezultaty wydała także inicjatywa n r. 1941 przez czytelników zbior- ka na rzecz pomocy dla Polaków w Rosji trwa bez przerwy i przyniosła już ponad 10-000 L

— Proszę pana, ja sobie chyba odejdę, bo już sił nie mam zreć się tak daleko z tym łobuzem. Doktorowa ma klucz od góry na każdą przepiórkę, pani komisarzowa — że to pie-luchy musi suszyć. Nasza pani ma swoje zmartwienia, a czym ja w sobotę łóżka zaścielę, proszę pana? Kocioł już pożyczylam na jutro, Grzelakowa zamówiona do prania, a on mi mówi, że państwo Dudekowie klucza dotąd nie oddali. A od czego on jest, — jak miesiąc temu godzinę klucz przetrzymałam, to z pyskiem zaraz przyleciał. Psi jego obowiązek przysięść i klucz w zębach przynieść.

W tej chwili dzwonek zabrzęczał władczo trzy razy u drzwi wejściowych. Żebrowski zdążył tylko rzucić uspakajająco:

— Lodzia się złości niepotrzebnie, a Grzegorz pewno z kluczem właśnie przyszedł.

Głos jego nie miał w sobie przekonującej pewności. Dozorca nie przychodziłby frontowymi drzwiami z kluczem od strychu. Nie przewidywał jednak najgorszego.

— Proszę pana — zagał zżawo Grzegorz — ja względem tego kawalera, co to niby na lekcje tu przychodzi. Nie moja sprawa, czego on się tu uczy, ale że szkodę robić na schodach potrafi, to potrafi. Całą „statuę“, co za nią pan Salzstein za ruskiego dziesięć rubli dał, w dryg rozmawiał, że do niczego nie-podobna. Ja tego zmywałem nie będę. Niech to pan gospodarz sam zobaczy. Ja tylko przyszedłem powiedzieć, że wiem, co się w domu święci, żeby się szczeniakowi nie zdawało, że mu wszystko wolno.

Tu skłonił się oszczędnie i ruszył w dół schodów, nie czekając na odpowiedź. O kluczu nie było w ogóle mowy.

Żebrowski zawrócił do stołowego, nie patrząc na Lodzie. Nie mógł usiedzieć przy stole. Porwał się i zaczął chodzić po pokoju, z rękoma założonymi do tyłu, od okna do pieca i z powrotem, krokiem szybkim i nerwowym.

Lodzia cierpiała samotnie w kuchni. Jak pamięć jej sięgała, pan nigdy nie robił czegoś podobnego. Kropła przepiełnia czarę gorczy.

Żebrowski chodził i chodził. Nie myślał jednak o represjach na Kaziu, ani o rozprawie z dozorą i właścicielem domu. Konstato-wał poprostu, że obrzydliwy mu do ostateczności i śmietnik na podwórzu, i widok więzieni z okna, i „statuja“ na klatce schodowej. Solidaryzował się skrycie z Kaziem — sam zrobiłby to samo, gdyby wiek i pozycja społeczna nie stały na przeszkodzie. Myśl, puszczona samopas, błądziła w poszukiwaniu jakiegoś realnego wyjścia z przykrej sytuacji. Zmienić mieszkanie? — nowy dozorca z pew-

nością, a prawdopodobnie i nowa „statuja“. Mieszkanie bez dozorczy i sąsiadów, domek z ogródkiem, własny strych, własny śmietnik? Może i pies własny?

Psa tego zobaczył oczyma duszy. Był to lśniący czarny jamnik, o kłapiastych uszach i sentymentalnym spojrzeniu. Nagle uświadomił sobie, że pięć istnieje. Że nazywa się Ciapka i że jest własnością Janickich. Janickich? — toż oni właśnie wyjeżdżają z Włocławka, opuszczając biały domek na Biskupiej. Toż przecież Baranowski szuka już lokatorów!

Myśl zaczęła pracować żywo. Nie chciał jednak pol-gać na pamięci.

Lodzcie ogarnęło przerażenie. Pan wybiegł szybko z mieszkania, zatraskując głośno (tak) drzwi wyjściowe. Rzucił się pośpiesznie do okna w stołowym. Z dołu nie dochodziły jednak odgłosy awantury. Żebrowski skreślił w prawo, kierując się, jak zwykle, w stronę Gimnazjum. Nie wszedł jednak w uliczkę, wiedząc, że czerwonego gmachu szkolnego, lecz szedł szybko, biegnąc prawie, dalej.

Ściemniało się już na dobre i ulica, rojąca się przez chwilę od młodzieży, wracającej hurmem z klasztoru i z katedry z „majowego“, wyludniła się niemal zupełnie, jak to w porze wieczery. Zapalono latarnie uliczne, rzadko rozsiadane, potyskujące zaledwie z daleka słabymi żorówkami w zapadającym mroku. Prawda a Bogiem, pociecha z nich była tylko w zimie, gdy bezlistne drzewa otwierały światłu drogę ponad kałużami. Wiosną ponad latarniami wyrastały ciężkie gruzły lepkich pąków, z których ulewły majową wymywały nocami listki lipowe, jasne, błyszczące, starannie unerwione, obrzeżone równiutkimi ząbeczkami. Latarnie traciły kontakt ze światem, przestawały zaglądać do okien, sobie tylko świeciły i najbliższym gałązkom, jakimś wybranym listeczkom, okalającym jasną kulą zieleni błyszczącą pestkę żarówki.

Domek Janickich stał na zakręcie, przy ostatniej latarni. Od ulicy oddzielał go malutki ogródek, który w dzień przyciągał zwykły oczy czerwona kulą szklaną, umieszczoną na słupku, rabatami stokrotek i bratków i zielonymi sztachetkami. Wieczorem tonął w mroku, który wydawał się gęstszy i ciemniejszy niż na chodniku, przez kontrast ze światłem, bijącym z wnętrza domu. Żebrowski przeliczył okna. Było ich cztery, nie licząc małego górnego, oświetlającego korytarzyk przy wejściu. Domek nie był więc tak duży, jak obawiał się poprzednio. Mógł mieć najwyżej cztery pokoje — trzy raczej i kuchnię. I ogródek. Dwa nawet ogródki, kwiatowy przed domem i większy, warzywno-owocowy na tyłach zabudowań. Ma-

łe to wszystko było, oszczędnie zaprojektowane. Ale domek był „sam w sobie“, na uboczu, spokojny i ludziom przychylny.

Lampę w jadalni przerobiono napewno z naftowej. Zwieszała się nad stołem na ciężkich łańcuchach, rzucając jasny krąg światła spod mlecznego szerokiego klosza. Jak kiedyś w Warszawie. Przed oczyma Żebrowskiego zmartwychwstał ze wszystkimi szczegółami obraz tego, co było mu sercem domu: fragment białego obrusa, talerz drewniany, chleb na nim potyskliwy, ręce matki.

Tu działało się to samo, według odwiecznego rytuału. Chleb było widać, — dużo chleba, — parę, bijącą kłębami z wazy, i jasne główki dzieci. Pani Janicka rozlewała barszcz, raz po raz widać było mignięcie talerza poprzez gałązki bzu, ustawionego w wazonie pod oknem.

Po dłuższej dopiero chwili Żebrowski zla-pał siebie na grzesznej czynności podglądania bliźnich. Ośmieszał się wobec przechodniów, wystając po ciemku przed cudzymi oknami. Wstydył się zawrócić. Nogi same poniosły go dalej, znanym szlakiem do końca uliczki, w głąb długiego podwórza. Tam także z okien biła tona światła. Wszyscy, wszyscy dokoła siadali do wieczerzy, w kręgach jasnych światła, w szezęku łyżek i noży, w odorach smakowitego jada...

Zrezygnował z zobaczenia kolegi. Po książkę wstąpił kiedy indziej. Teraz — nie pora. Wracaj spłoszony, drugą stroną ulicy, wzdłuż parka-nów, jak pies przegnany, świadomy winy. Do domu nie spieszyło mu się zupełnie. Jakże to mawiała żona: „Nie rozumiem, czego ci właściwie brak...“

Fakt, że Bronka aprobowała projekt przeprowadki niemal bez wahania, zaskoczył i zdezorientował Żebrowskiego. Zwycięstwa, od-niesione bez walki, kryją w sobie zawsze ziarno niepokoju, a łatwe tryumfy nie należą do najszlachetniejszych. Profesor przygotował się do walki, prowadził imaginacyjne dialogi, przekonywał, trwał twardo na stanowisku, obmyślał argumenty. A tu — obeszło się bez ich wytaczania, zgoda przyszła bez walki.

Czuł się głupio. W głębi świadomości nur-towało go stale podejrzenie, że — decydując się na zmianę mieszkania, wkracza na niebez-pieczne tory łatwej mieszczańskiej egzystencji, że postępując egoistycznie i podstępnie, wciąż za sobą Bronkę, w której cenil przeciwieństwo najgłębiej to właśnie, co pozornie drażniło go i niecierpliwiło: jej szczerą, czujną gotowość wyrzeczeń, instynkt wyczuwania krzywdy i radość z nieśienia pomocy.

Usnął dobrze po drugiej, solenne posta-nawiając, że raniem wycofa propozycję — niech wszystko będzie po staremu. Spał źle, niespokojnie. Śniły mu się jakieś uliczki na przedmieściach, mrowiska ludzkie wśród straganów na targowisku, śnieg, tający na chod-nikach, ciemne wnętrza sklepików, szewe-staruszek, skreślony nad kopytem, w żółtawym świetle naftówki... Przebudził się pełen wstydu i niesmaku, leżał z otwartymi oczyma, przebijając się wzrokiem przez mrok, zalegający dokoła.

Pokój wydał mu się większy i wyższy, niż w dzień, ściany pięły się w górę, okno — roz-szerzone i rozciągnięte w poprzek, nie miesciło się w polu widzenia. Uszy miał pełną nieznos-nego brzęku, wielokrotnego echem w ciszy najgłębszej nocy. Z trudem rozpoznał w tym dokuźliwym dźwięku tykanie własnego zegarka, położonego, jak co wieczora od tyłu lat, na krześle przy łóżku. Odrzucił koc, grzejący wprost nieznosnie, i starym nawykem zaczął powstarać w pamięci liczbę 3,1415926535897 9323846264... Kiedyś pamiętał sto pierwszych cyfr po przecinku, wyuczył się ich na postrach uczniom, a jak mawiał, nie lepiej nie zabijało bezsenności. Dziś jednak niezawodny środek nie pomagał — na domiar złego ogarnęło go wrażenie przenikliwe zimna. Naciągnął koc z powrotem — i natychmiast zasnął.

Po chwili znalazł się na dnie dolinki w zwalach syckiego piachu, tamującego kroki, wdzierającego się ziołowie do obuwia. Piał się w górę stromym zboczem, czepiając się obłych korzeni drzewa. Szyszki, tyle szyszek... Sosna bo rosta na osypisku, przystęga wiatrami, czerniejąca czeluszcą dziupli... Jakże trudno dojść do niej, jak straszliwie, straszliwie daleko...

Zbudził go, później niż zwykle, odgłosy przygotowań do śniadania i głos Bronki:

— Wstawaj, leniwco. Toż musisz iść do Baranowskiego w sprawie domu. Lodzia mówi mi właśnie, że kandydaci stoją w ogonku i że trzeba się spieszyć. W pokoju od frontu zrobię sobie gabinet do pracy, ściagnę maszynę do pisania i będę odwalala korespondencję Patronatu w domu.

To zdecydowało. Najniższe instynkty doszły znów do głosu. Wyrzuty sumienia ucichły. Nie było mowy o wycofywaniu propozycji.

Postanowiono, że z p. Baranowskim trzeba pomówić jak najprędzej, jeszcze dziś rano, w czasie dużej paury. Nie można już dłużej żyć w tych warunkach. Nie można zwlekać — trzeba przeciwieństwo mieć swój własny, prawdziwy DOM.

STALIN W TEHERANIE

W czwartek, dnia 25 listopada, spotkałem na jednej ze stereotypowych imprez towarzyskich Teheranu parę nowych twarzy. Nowe twarze są zawsze największą atrakcją tego rodzaju zebrań, gdzie przeważnie spotyka się dawnych dobrych znajomych, którym wystarczy w tłoku powiedzieć „how are you“, by otrzymać prawie że identyczną odpowiedź i czarujący uśmiech — i by uznać rozmowę za skończoną bez konieczności jej przedłużania, jeżeli obie strony nie są skłonne mówić o pogodzie. Zgadywanie, kim są te nowe twarze, jest psychologiczną zabawą, trwającą aż do momentu wzajemnego poznania się. W danym wypadku towarzystwo było zmajoryzowane przez Amerykanów i, biorąc rzeczy normalnym trybem, należało się spodziewać, iż są to zapewne nowoprzybyli amerykańscy eksperci finansowi do misji nieoficjalnego dyktatora Iranu, Dra Millspaugh. Tych ekspertów przewoził bowiem ze sobą ostatnio każdy samolot komunikacyjny „prosto z Florydy, Kalifornii, czy Ohio“ i normalnie słyszało się z ich ust wyrazy optymizmu: „jestem pewien, że z powodzeniem uporamy się z sytuacją“, czemu towarzyszył szeroki uśmiech zadowolenia i pewności siebie, iż „nawet w Persji“ oni, Amerykanie, dadzą sobie radę z finansami i kontrolą cen. — To też, starając się odgadnąć, kim są nowi przybysze, myśl moja poszła właśnie w tym kierunku. Okazało się jednak, że byłem w błądzie. Nowoprzybyli zostali przedstawieni jako „Major“ lub „Captain“ (a byli w ubraniach cywilnych), a parę zdań, następnie wymienionych, jak i parę informacji, nieco później zacerpniętych, pozwoliło ich dość wyraźnie zidentyfikować: ci panowie przybyli właśnie z Kairu z jakąś tajemniczą misją „security“ i są Anglikami.

Takie było preludium. Potem wypadki potoczyły się w szybkim tempie. Następnego dnia, w piątek 26 listopada, pewien znajomy Amerykanin zapytał mnie podczas lunchu, czy słyszałem o dziwnych pogłoskach, że Stalin, Roosevelt i Churchill są właśnie w Kairze. Nazajutrz, w sobotę 27-go, spieszyłem się wieczorem, by zdażyć osiągnąć pewien punkt poza miastem o godzinie 8-mej. Miałem 10 minut na przebiecie około 7 kilometrów samochodem i wszystko byłoby w porządku, gdyby nie to, że zostałem zatrzymany na jednej z głównych arterii miasta przez energicznych „Tommiess“, uzbrojonych od stóp do głów, którym nie pomogły ani moje argumenty, ani dyplomatyczna przepustka. — Ruch jest wstrzymany i mamy rozkaz nikogo nie przepuszczać, — brzmiała odpowiedź, i gdyby nie spryt mojego kierowcy, który znał inne drogi wyjazdu z miasta, ominąłby mnie z pewnością dobry obiad i ciekawa rozmowa przy kominiku z korespondentem amerykańskiego koncernu, jadącym właśnie do Moskwy. — W każdym razie jasnym już było, że ktoś ważny jest w mieście. Anglicy, obecni na obiedzie, byli żywymi sfinksami. Nie chcąc utrudniać sytuacji gospodarzowi, mówili zawzięcie o golfie i o wspinaczce na szczyt Demawendu. Jeden

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

LISTY Z PERSJI

z nich ulotnił się natychmiast po skończonym posiłku, zostawiając swą zonę wśród nas, i wrócił dopiero o 1-szej w nocy, by ją zabrać do domu. Czuło się coś niezwykłego w atmosferze, ale trzeba się było dostosować do angielskiego self-restraint'u.

Nazajutrz, w niedzielę, przewyciężając chęć snu, wstałem dość wcześnie i wybrałem się do śródmieścia. Pogoda była piękna i pasmo gór Elburz wspaniale iskrzyło w słońcu swym ośnieżonym grzbietem, górując nad miastem. Gdy przechodziłem ulicą Ferdowsi, uderzył moje oczy niezwykle widok: widok ghett. Oto bowiem w poprzek ulicy, dzielącej poselstwo brytyjskie od ambasady sowieckiej, zostały rozwieszone płotna, zamykające zupełnie te ulice i zasłaniające widok na wysokość półtora pietra. — A więc są tu, zapewne wszyscy Trzej

Do wieczora całe miasto mówiło o tym, że Roosevelt, Churchill i Stalin są w Teheranie, i całe miasto powtarzało w związku z tym szereg fantastycznych pogłosek. Podniecenie udziałało się każdemu. Wielu ludzi widziało już na własne oczy Roosevelta lub Stalina, jadących w samochodzie, byli tacy, co widzieli wiceprezydenta Wallace'a. Znajomy dziennikarz amerykański, spotkawszy mnie na ulicy, zapytał: „Czy widzi Pan moje buty?“ „Tak, widzę“, odpowiedziałem niewinnie, „ale cóż z tego?“ „Jak to, nie widzi Pan, że błyszczą one, jak nigdy przedtem?“ Istotnie, polski obuwia był wręcz lakierowy. Zaraz też otrzymałem wyjaśnienie tajemnicy: nasz korespondent znalazł sobie czyszcibuta z fotelem, który swe przedsiębiorstwo dziwnym trafem posiadał akurat naprzeciwko ulicy Dwóch Poselstw, ulicy-ghetta. Tam, w cichym zakątku, wśród dyndających się sznurowadeł i w odurzającym zapachu mieszanek past do obuwia, spędzał on całe godziny, wypatrując, czy z poza silnie strzeżonych płócien lub z bramy posesji brytyjskiej nie wyłoni się jakaś historyczna postać, coby mu pozwoliło na napisanie dramatycznego raportu do swego pisma. Tenże sam dziennikarz szepnął mi na pożegnanie: „Wie Pan, pułkownik D., Belgijczyk, widział już Churchilla w samochodzie“. Ta nieostrożna uwaga omal nie spowodowała popsucia się moich dobrych stosunków z Belgiem. Zasugerowany bowiem tą wiadomością, spytałem w parę godzin później tegoż pułkownika, czy prawdą jest, iż widział premiera brytyjskiego, na co pułkownik odparł z oburzeniem, żeby go nie uważać za „bedeau“, który nie ma innych zmartwień, jak gapić się na ulicy na przejeżdżające wozy. Nie przeszkodziło mu to jednakże w starannym sondowaniu mnie, co wiem o personaliach odbywającej się konferencji.

Następnego dnia wszyscy już mówili o obecności szefów sztabów alianckich, a licznie

uwijający się po mieście wyżsi oficerowie sowieccy i inni potwierdzali to mniemanie. Jednocześnie stali bywalcy angielskiego „Tehran Club“ konstatawali z przerażeniem, że muszą wyczekać długo na wolne miejsce w restauracji, gdyż wszystkie stoliki były obsadzone przez młodszych oficerów brytyjskich, którzy po służbie na terenie posesji brytyjskiej tłumnie o godzinie 1-szej zalegali lokal klubu.

Tak więc Teheran został wyróżniony, — oto słowa z „Journal de Teheran“ w parę dni później. Wielka Trójka tutaj właśnie obradowała nad urządzeniem świata, a „tajemniczy człowiek z Kremia“ pierwszy raz zdecydował się opuścić granice swego kraju.

Oficjalny komunikat był równie mocny, jak krótki. Publiczność perska zostawiła kłopot komentowania tego dokumentu komu innemu, sama zaś daje wyraz niepomamowanej radości z powodu specjalnego komunikatu, dotyczącego Iranu. Kraj ten istotnie ma wszelkie powody ku satysfakcji: suwerenność jego i integralność została uroczystie potwierdzona, zyskując dodatkową gwarancję amerykańską, co stanowi novum w tym zakresie. Obiecano Iranowi pomoc ekonomiczną, uznając jego zasługi przy transzycie materiałów wojennych do Rosji. Zapewniając to wszystko, powołano się na Kartę Atlantyką.

Polakom, korzystającym z gościny tego kraju, nie są obojętne jego sprawy. Wiele analogii dałoby się przeprowadzić między sytuacją obu państw, a szczególnie dla Iranu przebieg konferencji może dawać wiele do myślenia. Powołanie się na Kartę Atlantyką jest zaś wymownym dowodem, że w momencie, gdy Anglia, Ameryka i Rosja przystąpiły wspólnie do konkretnego rozstrzygnięcia jednego z ważnych problemów politycznych, ten wielki dokument stanowił podstawę decyzji.

JEDZIEMY DO AFRYKI

„Wie Pan, coś niezwykłego, oto miałem ostatnio parę ofert ze strony polskich kucharek w obozach uchodźczych, że gotowe są przyjąć u mnie pracę“ — powiedział mi jeden z notabli teherańskich niedawno. Dla niewtajemniczonych sprawa wcale nie jest niezwykła. Dla wtajemniczonych jest niezwykła istotnie. Albowiem trzeba wiedzieć, że mój rozmówca od dłuższego czasu napróżno poszukiwał polskiej kucharki, zaznaczając, iż zależy mu na przymiotniku „polska“, gdyż ma wysokie wyobrażenie o czystości, pracowitości i sprawności Polaków, co kontrastuje z brakiem tych zalet w wielu wypadkach służby innych narodowości w tych rejonach geograficznych. Pan ów jest człowiekiem zamożnym i ofiarowywał dobre warunki płacy, mieszkania i wyżywienia. Jak się jednak okazało, mój rozmówca był pechowcem: zmienił kilka kucharek w dość szybkim tempie, gdyż

odchodzili od niego, skarżąc się na przeciążenie pracą, na dziesięć schodków, prowadzących z kuchni do pokoju stołowego, oraz — jedna z nich — na brak odpowiedniej ilości dywanów w jej pokoju.

Właściwie sprawa wydaje się być białą i wybitny pech właściciela willi nie zatrzymywałby naszej uwagi, gdyby nie jedna wspólna cecha tych dobrowolnych „dymisji“: oto w każdym z powyższych wypadków odchodząca gospodyni nie miała bynajmniej zapewnionej nowej pracy u kogo innego, natomiast wszystkie powracały do obozu uchodźczego, gdzie miały automatycznie zapewnione mieszkanie (wprawdzie w baraku, mieszczącym kilkadziesiąt osób), wyżywienie i zasiłek pieniężny oraz — co najważniejsze — brak przymusu pracy za te wszystkie świadczenia. Analizując sprawę nieco głębiej, dochodzi się do wniosku, iż zapewnienie przez władze opiekuńcze uchodźcy bytu nawet w warunkach skoszarowania jest dla niego bardziej atrakcyjne, niż praca, choćby była ona finansowo opłacalna. Nie można patrzeć na to bez pewnego niepokoju, tym bardziej że przytoczone wyżej przykłady nie są bynajmniej wypadkami izolowanymi, a raczej obrazują tendencję ogólną. Rzecz charakterystyczna przy tym jest, że osoby, których stopa życiowa była w Polsce wyższa, starają się unikać życia w obozie, przyjmując pracę w mieście lub na prowincji, choćby to miała być praca ciężka i nie odpowiadająca ich przygotowaniu lub wykształceniu. Tak np. ponad 45 inżynierów i prawników zaangażowało się na stróżów nocnych w angielskim przedsiębiorstwie U. K. C. C., gdzie wolą pracować, niż mieszkać we wspólnym baraku uchodźczym. Z osobami, których stopa życiowa w kraju była niższa, sprawa natomiast wygląda odwrotnie — tak, jak to na początku opisano.

Uchodźstwo nasze w Persji może się z pewnością poszczycić wieloma przykładami indywidualnych zalet, przy których nawet żona ślimaka nieco błędnie. Rosja była szkołą życiową, która wielu zламаła, ale wielu zahartowała. Dzisiaj zaś tym ludziom grozi wielka krzywda — krzywda spalenia charakterów w warunkach ciepłarnianego bytu obozu uchodźczego.

Rozpoczęliśmy od stwierdzenia, że nasz znajomy właściciel willi wyraził swe zdumienie, iż zgłaszają się do niego obecnie kandydatki do służby domowej. Wy tłumaczenie nie jest trudne: uchodźstwo w Persji ma być ewakuowane w przyspieszonym tempie do Afryki, Czarny ląd napawa ludzi niewyjaśnioną obawą. Dochodzą tu słuchy, że osiedla afrykańskie są z dala od wielkich miast, że podobno uprawia się ziemię pod ogródki warzywne. Czyli że sprawy wyglądają tam inaczej, że skończy się barwne wystawy sklepów i afisze kinoteatrów. Afryka wygląda w perspektywie tak ponuro, iż nawet lepiej jest znaleźć tu na miejscu zajęcie, byle jej uniknąć lub swój wyjazd opóźnić. Hasło „Jedziemy do Afryki“ zmienia się dziś na inne: „Pracujemy nawet, byle z dala od Afryki“.

HENRYK GOTLIB

Z WĘDRÓWEK MALARZA PO GRECJI

Przedmowa

W czasie podróży po różnych krajach Europy powstawały w głowie mojej myśli, które często notowałem słowami lub rysunkiem. Tym sposobem pragnąłem utrwalić — na razie dla siebie tylko — nowe często dla mnie samego i niespodziewane skojarzenia i pomyslenia o ludziach, którzy rozrzucają na kontynencie Europy, oddaleni niejednokrotnie tysiącami lat i kilometrów, wykonywali wszędzie pracę w zasadzie taką samą.

Pracując nad własnym malarstwem i ogłędając w czasie podróży dzieła artystów różnych epok i krajów, nauczyłem się rozpoznawać chwile radości lub niepokojów, zmagani lub uniesień, momenty bierności i przytępienia lub woli aktywności i dynamizmu, którym ulegali ludzie, tworzący sztukę. Patrząc w ten sposób na obrazy i rzeźby, odczytując w nich niejako zwierzenia i wyznania artystów, odnajduje się w nich bliskie istoty, których życie wewnętrzne podobne jest do naszego własnego i dzisiejszego do tego stopnia, że wraz z tym poznaniem gubią się przestrzenie wieków i dalekich krajów, gromadząc garstkę ludzi różnych czasów i narodów w rodzinę, związaną serdecznymi i takimi samymi umiłowaniem.

Sprawa rozróżniania „stylów“ i „epok“ staje się — przy takim nastawieniu — rzeczą mało ważną a ciche i właściwości różnych okresów sztuki zawisają w pustce, jak zawieszona w gablotach muzealnych zbroje i ubiory, w które stroili się i ubierali ludzie w różnych czasach i krajach. — w każdym nieco odmiennie, — ludzie w zasadzie zawsze podobnie czujący i trudzący się myślą nad podobnymi zagadnieniami.

Publikując te niehistoryczne i intymne niejako notatki, ostrzec winienem czytelnika, że nie jest to przypadkowe tylko i dorywcze odtworzenie kapryśnych i zmiennych wrażeń malarza.

Znając poniekąd z własnych doświadczeń drogi, które prowadzą od oglądania natury, do realizowania dzieła sztuki, widzę przewijające się i krzyżujące poprzez wieki, raz jasno i zdecydowanie, drugi raz chaotycznie i jak gdyby nieświadomie, dwa zasadnicze sposoby widzenia i przedstawiania świata: jeden czysto malarski, czyli czysto wzrokowy, drugi rzeźbiarski, który nazwałbym dotykowym.

Obserwując poszczególnych artystów i zwarte epoki malarstwa i rzeźby pod kątem widzenia zmagania się tych dwóch krańcowo różnych sposobów widzenia: malarskiego i rzeźbiarskiego, stwierdzając narzucające się sugestie, idące od malarstwa w rzeźbę lub na odwrót, śledząc za tym, jak malarze usiłują wyzwać się np. spod uroku rzeźby, lub jak jej bezwzględnie ulegają, — posługujemy się tą metodą jak busolą wśród labiryntu dzieł.

Wybór tej metody wydać się może dowolny, a sama metoda nieistotna. W gruncie rzeczy jest to system obserwacji i myślenia o plastyce, wypływający konsekwentnie z poszukiwań i dociekań, które stanowią treść mojego malarstwa. Jeżeli użycie tego systemu czy metody nie wydaje się usprawiedliwione niczym innym, jak tylko własnymi, bardzo osobistymi zainteresowaniami, to właśnie moment osobistego przeświadczenia i zaangażowania się własną swą osobą w wyborze drogi — daje gwarancję szczerości i autentyczności przeżyć, których opis stanowi treść moich „Wędrówek“.

Uwagi te i rozmyślanie nie zmierzają do ustalenia niewątpliwych wskazówek, którymi należałoby się kierować przy oglądaniu dzieł sztuki, ani do osądzenia, które dzieła są dobre i wartościowe, którym wyłącznie należy się przyjrzeć, które zaś należałoby pominąć jako bezwartościowe. Nie chodzi o narzucanie sądów, ale o rozbudzenie wyobraźni i skierowanie jej na sprawy dla plastyki istotne, czyli o przeniesienie czytelnika w sferę doznań i myśli, gdzie przed oczyma jego rozgrywa się teatr tworzenia.

Heraklion na Krecie

Niedużym statkiem wyjeżdżamy z hałaśliwego portu Pireus — pod wieczór — na pełne morze, wprost na południe. Nad ranem dobijamy do Kandii, czyli Heraklionu, gdzie mieści się muzeum, a w nim najcenniejsze zabytki sztuki kretańskiej.

Główna sala muzeum wypełniona jest resztkami fresków, pochodzących z pałacu legendarnego czy historycznego króla Minosa w Knossos. Freski te, choć zachowały się tylko we fragmentach, są tak niespodziane i zdumiewające w świeżości, sile i jak gdyby współczesności, że wrażenia, które wywołują, nie zatrza nic, co byśmy potem w Grecji zobaczyli.

„Nosząca wazę“ jest częścią fryzu, którym ozdobione były propelees z kolumnadą, prowadzące na taras, jeden z wielu, w jakie obfitował pałac w Knossos. Postać „nosząca wazę“ jest wielkości naturalnej (nawet nieco większa od naturalnej), głowa stanowi jednolite czerwone uderzenie koloru (w zwojach włosów czerwieni przetykana jest gorącymi brązami), waza zaś jest seledynowo-niebieska, z podłużnymi, w dół biegnącymi czerwonymi paskami, tło jest białe-żółtawe. Kontur głowy i rąk, o niesłychanie precyzyjnym i zdecydowanym rysunku, wskazuje, że

malarz opanowywał rysunek kapitalnie i że czuł formę. Nie ma tu śladu naiwności ani prymitywizmu. Jest to sztuka najdoskonalej świadoma, malarstwo najkonkretniej płaskie. Freski w Villa dei Misteri (w Pompei) lub malarstwo bizantyjskie są w obliczu tej sztuki tworem kompromisowym między absolutną płaskością i perspektywizmem rysunkowo-malarskim.

Podobny charakter mają fragmenty innych fresków: „Paryżanka“, „Kobieta w niebieskim“ i „Tauromachia“. Wszystkie figury okręcone są tu zdecydowaną bardzo płamą barwną i konturem wrażliwym, zmysłowym i żywym. Jeszcze bardziej zdumiewające są w małych fragmentach uratowane freski, przedstawiające np. „Tum kobiet i mężczyzn“ na tle nieba, śmiałością rysunku, trafnością tonu i żywiołowym położeniem barwy przywodzące na myśl olejne obrazy Daumiera.

Pałac w Knossos

Pałac w Knossos jest (obok położonego na południu Krety Hagha-Triada) punktem centralnym, z którego pochodzą zabytki sztuki kretańskiej. Od r. 1900 prowadzi na tych terenach Anglik, Sir Arthur Evans, niestrudzone poszukiwania, które doprowadziły go do wydobywania pod ziemią pałacu króla Minosa. Dokopano się więc resztek Pierwszego pałacu, pochodzących jeszcze z roku 2000 przed Chr. Na jego gruzach wznosił król Minos (około r. 1750 przed Chr.) pałac nowy, t. zw. Drugi



HENRYK GOTLIB:

Mickiewicz wraca do Krakowa

(Obraz wystawiony w londyńskiej Royal Gallery).

pałac, który dopiero około r. 1400 przed Chr. uległ jakiejś bliżej nieznannej katastrofie.

Na kamiennych śladach drugiego pałacu wznosił Sir Arthur Evans w ciągu ostatnich lat „Trzeci pałac króla Minosa“. Nie brak w nim sali tronowej, kamiennego tronu króla i labiryntu komnat, sal i tarasów, przyozdobionych nuskami, pękami kolumnami o dziwnych kształtach (cieńsze u dołu i zgrubiające się w górę) i kopiami fresków, umieszczonych tam, gdzie znaleziono po nich ślady. Lecz trzeba dużo dobrej woli, ażeby mimo uznania dla ogromu pracy Sir Evans'a wybaczyć mu wrzaskliwą polichromię, którą pokrył ściany i kolumny odrestaurowanych i niemal na nowo na odwiecznych fundamentach wzniesionych budowli. Kopie fresków, pokrytych murów, są bowiem niezmiernie odległe w rysunku, kolorze i fakturze od fragmentów zachowanych oryginałów. Pociągamy się tylko, iż rozmiśczenie i proporcje polichromii nie są dowolne.

Ale zamknawszy oczy na pokost, niemal jeszcze świeży, pokrywający ściany i kolumny tego dziwa, wzniesionego wśród cudownego pejzażu kretańskiego, uzmysłowić możemy sobie dzięki pracy Sir Evans'a rozmach i zasięg tego zabytku.

Mikeny

U stóp skał, na których wspierają się mury i murawisko prastarych warowni i pałaców mikenich, t. zw. Akropolisu mikenich, rozciąga się szeroka, zielona dolina, przecięta tasmą szosy. Po skromnym śniadaniu, spożytym na wolnym powietrzu, pod starzymi drzewami oliwnymi w hotelu „Pięknej Heleny i Menelausa“, wstępujemy na wzgórze.

Wśród ruin prześlicznych grobów i grobowców, w których Schliemann, a ponim inni,

znaleźli istne skarbcie szczerolotych masek, naszyjników i naczyń. — stajemy w pewnej chwili przed „Iwłą bramą“.

Sławna rzeźba na „Iwłej bramie“ przedstawia ciała dwóch lwów, wsparte mocno na przednich łapach po dwu stronach krępej kolumny. Lwom brak jest głów, po których zostały tylko dziury, wybite w szyjach zwierząt (co wskazuje, że wykonane były z innego bloku niż reszta korpusów). Rzeźba, wklonowana między potężne bloki kamienne, monolit kilkumastrometrowej długości i dwumetrowej wysokości, przemawia do nas — z odległości trzech tysięcy lat — mową dziwnie prostą i jak gdyby bliską. Proporcje jej w stosunku do całości bramy, której stanowią ukoronowanie i jedyną (dzisiaj) ozdobę, działają jak liryczna melodia, wiążąca się z basowym akompaniamentem kamiennych bloków w muzyczne jak gdyby frazy o nieskazitelnym harmonii.

Rzeźba na „Iwłej bramie“, o której mówią historycy sztuki, że artystycznie stoi wyżej od większości prac późniejszej epoki, uczy, jakie decydujące znaczenie mają proporcje dzieła sztuki, i to nie tyle wymiar jednego elementu architektury w stosunku do drugiego, ale wprost wielkość, wymiar danego fragmentu. Dlatego też żadna reprodukcja, żadne zdjęcie fotograficzne nawet w przybliżeniu nie da nam wyobrażenia o „Iwłej bramie“.

Niedługo po minieciu bramy odnajdujemy

że przewodnika naszego, deklamującego grecki wiersz na środku sceny, styszeliśmy, odróżniając brzmienie każdego wyrazu, na wysokości ostatniego, 55-go rzędu, oddaleni od niego przestrzenią 60 metrów i różnicą 22 metrów poziomu.

Do teatru podchodzi się zielonym płaskowzgórzem, zalanym skłóncem i pokrytym różnobarwnymi anemonami, wśród których przewodnik pokazuje głowy, uszeregowane kamienne wyniosłości i sklepienia, w ziemię zapadłe. Ślady te to resztki olbrzymiego „Sanktuarium Eskulapa“ (t. z. Hieron d'Asclepios), świątyni, sanatorium dla chorych i lecznicy, sławnych na całą Grecję. Resztki kolumn i kapiteł w stylu korynckim, uzupełniane przeważnie w późniejszych czasach, a przechowane w obok stojącym muzeum, wskazują na architekturę ozdobną i pretensjonalną, charakterystyczną dla IV wieku przed Chr.

Zawracamy tą samą drogą z powrotem do Naupliu. I oto zniemacka, w pejzażu, prześwietlonym południowym słońcem, stoi kilkanaście metrów od szosy, wśród traw, Hagios Sotir, maleński bizantyjski kościółek. Norma i proporcje tego opuszczonego „bijou“ architektonicznego, z resztkami fresków na wewnętrznej, są bez zarzutu. Są dziwnie związane z otaczającą je naturą, jak gdyby wbudowane w pejzaż i podporządkowane jego organizacji, jak drzewo lub skała.

„Hieron d'Asclepios“, które dopiero co opuściliśmy, o zasięgu ogromnym, królującym i wyniesionym dumną ręką Greka w IV wieku przed Chr. ponad ludzi, drzewa i kwiaty, stanowi dziwny kontrast ze skromnym przybytkiem chrześcijańskiego kultu. Mówi się często o architekturze greckiej, że, w przeciwieństwie do sztuki Wschodu, była na miarę człowieka.

W obliczu Hagios Sotir, nie wspomniawszy w najszczegółowszych nawet przewodnikach, dziwnych doznajemy uczuć. Być może, że sztuka grecka była „na miarę człowieka“ w przeciwieństwie i w zestawieniu z gigantycznymi założeniami świątyń i pałaców Wschodu. Łącz kiedy mijamy sanktuaria greckie i z cienia wyniosłych kolumn marmurowych podchodzimy pod kościółek bizantyjski, czujemy, że „ludzkość“ tej skromnej — ale jakże pięknej — architektury w inne uderza struny. Na zagubioną wśród zieleni szarą konstrukcję patrzymy jak na schrony lub zakonspirowane niemal miejsca schadzek niewolników i biedoty, której obce musiały być marmurowe świątynie i wykwinie udrapowani bogowie hellenistycznej Grecji. Hagios Sotir tłumaczy nam i uzmysławia ducha pierwszych wieków chrześcijaństwa, organizującego swe skromne rzesze w łonie arystokratycznych społeczeństw Hellady, Rzymu i Bliźniwego Wschodu. Zobaczymy później, jak uległ zmianom z biegiem wieków ten pierwotny charakter architektury bizantyjskiej i jak prawdziwy, elementarny jej wyraz dochował się (przez dziesięć niemal wieków) jedynie w bizantyjskim malarstwie.

Delfy

Do Delf jedzie się z dużą ciekawością. Ale emocje, których tu doznajemy, są zgoła odmienne od naszych oczekiwań. Z świętego miasta, siedziby Pytii delfickiej, obspidywanego skarbami aż do czasów rzymskich, pozostało pobożewisko ruin i... muzeum. Ale położenie tych niezliczonych świątyń, skarbców, teatru i stadionu na stokach skał, u stóp potężnego Parnassu, tak wybraли starożytni, że bez wysiłku uzmysłowić możemy sobie niezwykłość nastroju i atmosfery, która tu panowała. Dziś jeszcze, siedząc na balkonie hotelu, zawieszonego ponad urwiskami skalnymi, między którymi, daleko w dół, szumi morze, patrzymy bez zdziwienia na olbrzymie orły, które szybują wśród skał, pod naszymi nogami.

Z dawnej świątyni Apollina Pityjskiego, Palestry, Świątyni Ateny Pronia i słynnego Tholosu (rotundy marmurowej) pozostały rozrzucone na ziemi głazy i marmurowe bloki. Jedynie teatr, położony wysoko nad świątyniami, tuż pod ścianami Parnassu, zachował się na tyle, że jeszcze w r. 1930 staraniem greckiego poety Sikélianosa odegrano tu Ajschilowskiego „Prometeusza w okowach“. W czasie przedstawienia, kiedy zachodziło już słońce, orły krążyły nad zasłuchaną widownią.

(Dokończenie nastąpi)

WAŻNE DLA P. P. WOJSKOWYCH NA SEZON LETNI

poleca w wielkim wyborze mundury drelchowe i wełniane, szorty, koszule gotowe i na zamówienie, bieliznę trykotową, oraz wszelkie artykuły i galanterię wojskową a także ręcznie haftowane dystynkcje.

GUR-ARIEH

(Właśc. A. Gurman)

TEL - A V I V, ul. ALLENBY 83

BOGDAN JASIEWICZ

CZARNI Z BEGHUANY

Masz mundur żołnierza angielskiego na sobie, w kieszeni kartę urlopową, rozkaz wyjazdu, — masz moc przeróżnych gratów wojskowych, ważnych i mniej ważnych, i siedzisz z nimi jeden, samotny Polak wśród obcojęzycznej gawiedzi pociągu. Trwa to godzinami, długimi godzinami bez wrażeń. Przebiegłeś setki kilometrów darowanych ciszy, monotonii płaskich pól i piaszków kraju, w którym, zda się, nic się nigdy nie dzieje... Tak nieciekawe jest to wszystko tam za oknami i tu wewnątrz wagonu, że nuży. Ty patrzysz, tkwisz i patrzysz, właściwie niczego nie widząc... I przebiega dzień cały, nieważny, niemity dzień bez zdarzeń.

Mała egipska miejscina na rubieżach. Późna noc. Opustoszały budynek dworca. Jakiś duży transport wojska, do którego cię dołączają... Wechem, instynktem wyczuci przedostajesz się w głąb wagonu, w zupełnej ciemności odnajdujesz kawałek ławki wolnej, — zapadasz w słożoną masę ludzką z uczuciem ulgi, boś już między swymi, żołnierz między żołnierzami... I gdyby oto los, przypadek szczęśliwy, wprowadził cię tutaj w oddział nawet bajecznie kolorowych żołnierzy, nie będą kolorowym zdarzeniem w tym życiu, boś już na wszystko obojętny, niezdolny do zwykłych reakcji. Masz dość wszystkiego. W nastroju niecierpliwych, gniewnych uczuć obracasz się plecyma do świata i wszystkich bez wyjątku spraw jego. Głęboko westchnąłeś, raz, drugi... Już śpisz.

Z budzącym się dniem pociąg rusza z miejsca — wstrząs, metaliczny łomot zderzających się wagonów odsłania ci tajemnicę pobytu w dalszym ciągu na tym najlepszym ze światów — kilkadziesiąt egzotycznych twarzy w najbliższym twym otoczeniu staje przed tobą — opóźnionym przybyszem nocy — rzeczywistością niepokojącą, niespodzianką barwną, zawsze ciekawą. Zapominasz o znużeniu, chłodzie ranka wczesnego, nawet o bolesnym skurczu ramienia. Przecierasz powieki, wdrażasz wycięty mózg do pracy, patrzysz w zdumieniu i żyjesz, żyjesz intensywnie tym niewątpliwie kolorowym zdarzeniem.

Zieleń żołnierskich płaszczy, mundurów, ekwipunku, zieleni różnorodnych odmian i połączeń barwnych, zalewająca dno, ławki rozkołysanego pudła wagonu, piętrząca się w kątach, wypełniająca późni wysoko aż pod dach, a pośród niej, jak w gęstwie dziwacznej poszycia lasu — kolorowe ciała. Czarne jak heban, brązowe, barwy czekolady i wszystkich odcieni palonej kawy. Głowy ułożone na chlebakach, workach żołnierskich, przekręcone groteskowo na długich karkach. Twarze zniekształcone rozchyleniem ust szerokości, obfitych, szczerzące rzędy zdrowych zębów... Kolorowy żołnierz przesypia noc uciążliwej podróży z pustyni.

Odczytuję napis „Beghuana” na białoczerwonej naszywce kapeluszy, poniewierających się wśród bagażu. Przypatruję się po kolei jednemu za drugim mym kolegom w służbie angielskiego króla jęgotności. Zapalam papierosa, układam się wygodnie, — chwila skupienia. Zamysliłem się... Mam ochotę wyciągnąć rękę, by uchwycić jeden z tych wspaniałych garniturów zębów, dotknąć palcami czarnego czoła, policzków, dłoni towarzysza, staniającego się ku mej twarzy, by się przekonać, że nie są z gutaperki, polerowanej laki, papier-maché. Tak mi się bowiem wydaje przez chwilę.

Rozjaśnia się wnętrze wagonu. U szyb okiennych staje dzień szary, zapóźniony. Zielona masa, wysięlająca grubo spod pudła, drgnęła, poruszyła się, tu, tam, wykształca się coraz wyraźniejszym rysunkiem ciał ludzkich. Fala chrząknięć, pokaszliwań, głośniejszych ziewnięć przebiega wagonem. Stuknięty gdzieś ciężko podkute buty wojskowe. Młodzieńcki oficer angielski przeciska się wśród leżących pokotem, ściętych kwiatów Beghuany. Pobudka. Kolorowi samuraje powstają ze snu. Padają pierwsze słowa w ich języku. Nierozumiałe dla mnie, do niczego w mym świecie nie podobne. Ciekawe, przyzywające powabem egzotycznym, tak jak ojczyzna czarnego plemienia... Beghuana. Beghuana. Jakiś błękitnozielony kraj olbrzymów leśnych, gojów, drzew chlebowych, odległa ziemia tropiku w samym sercu gorącego kontynentu.

Patrzę na fragment Beghuany, na ten najciekawszy, najważniejszy — na jej ludzi. Przeciskają się wagonem z rącznikami, przybarami, przeznaczonymi do rannej toalety. Wracają głośno, ożywni.

Nie widzę wśród Beghuańczyków „jakiegoś zdecydowanego typu, który by był w przewadze. Nie mam o to pretensji — do Beghuany. Uśmiecham się do czarnych wojowników. Oni śmieją się do mnie. Wkrótce kilku spośród nich stanowi kółko, licytujące się w okazywaniu mi obaw przyjaźni, życzliwych zainteresowań. Rozmawiany. Wypytuję o ich imiona, nazwiska. Mają imiona wdzięczne, owalne, gładkie, jak utoczone kamienie potoku, szeregami jednakowych, prostych dźwięków płynące. Jakies Tlalanyane, Bilouli, Dżimmi. Tych dziecięcych, miłych „mi“, „la“, „li“ moc jest w języku czarnych.

Jemy śniadanie. Zarządził je, kieruje nim sierzant, negr piękny, najczarniejszy. Łśni, jak spłukana figurka z czarnej porcelany. Naturalnie — placki, murzyńskie placki. Już je próbowałem jeść. Są bez smaku, wyrazu,

nie odpowiadają mi. Teraz im nie umknę. Jestem gościem na przyjęciu. a placki — na ostatnim postoju za linią frontu przez żołnierskie ręce upieczone — urastają do znaczenia symbolu. Jem powoli, kęs za kęsem. Popijam herbatą... Placki mają wysoką cenę. Wiem o tym.

Widziałem już, jak pieczono placki. To gdzieś — ostatnio — na pograniczu pustyni i żyznych ziem Egiptu... Grupka na pół ubranych czarnych żołnierzy, wysoki rząd daktylowców za ich plecami, — w głębi krzewy figowe, białe plamy dachów namiotowych. Ognisko. Malinowy płomień... Okrągłe blachy o kształcie przykrywę ogromnego pudła, zawieszane ukośnie nad paleniskiem. Jedna, dwie płytkie dzieje z rozrobionym ciastem. Wokół, wszędzie naokoło piaski. Czysta ciutkie piaski nadmorskie, które chylące się słońce maluje pomarańczowo.

Lecz to tylko obrazek. Ot, obrazek egzotyczny. Kolorowy... I nie ważne też, że to moment wyraźny uczuciowych najserdeczniejszych zbliżeń. Najważniejszym jest, że chwila ta wyzwala pieśń dziwną, niezwykłą, — niezwykłą muzykę, w której zamyka się dusza plemienia... To nie pieśń, jak ta polska ludowa, co niesie się śpiewną lamentacją, to inny świat, coś innego zupełnie.

Tam jest rytm, przede wszystkim rytm, życie, ruch. Ruch jest istotą tej muzyki. Budzi ona, niepokoi, — nie potrafi kołysać. Jest coś kapitańskiego i groźnego zarazem w tej wspaniale rytmicznej muzyce życia. Płynnie z obfitości, jakiegoś nadmiaru nagromadzonej energii. Rytm pieśni wyznacza się na twarzach śpiewających. Widziałem, — każdy, biorący udział w świątecznym pieczeniu placków, każdy, który śpiewa — drży, dygocze... To każdy z nich tańczy. Siedząc na miejscu z podwiniętymi nogami, czarny żołnierz tańczy.

W rytm, w tanecznym ruchu kładzie murzyn białe ciasto na rozgrzaną blachę — hieratyczny, wykształcony gest wąskich dłoni o niezmiernie długich palcach... Jasnieją gładkie placki. Pieśń płynnie, powtarza niektóre partie kilkakrotnie, jak formuły odprawianego rytuału. Placki na blasze ciemnieją. Za pierwszym idą dalsze. Stos ich piętrzy się już na płachcie, rzuconej na piasek... Później — gdy ogień zagaśnie, gdy pieśń uciszy się — milcząc sterczy się nieruchomo pod niemi palowym. Odczuwa się, że coś żyło, grało, co ma potęgę żywiołu, czar, urok wspaniałego prymitywu. Odchodzi się, myśli, utwierdza się w przekonaniu, że muzyka to zagadnienie jakichś innych, dalekich wymiarów, że można nią przemawiać, porozumiewać się nie, jak słowami, nosicielami myśli o faktach, ludziach, zdarzeniach, ale wprost odśaniając duszę, tę jakże dziwną mieszaninę leków i zapachów, gorących pożądań i samoudręczeń, elementów jasności, słońca i wiecznych cieniów.

Skończyliśmy śniadanie, siedzimy, palimy. Naprzeciw mnie krótki Beghuańczyk, poważny, cały czas zamysłony. Dziwna jego twarz — okrągła, obrzmiała, ma coś infantylnego i starczego zarazem. Karzełek. Przy mnie Tlalanyane...

Tlalanyane — jest pewna szczególna więź między nami. Nazywa się to sympatią „od pierwszego wejrzenia”. Może to coś więcej nawet. Tylko że Tlalanyane na nieszczęście zna ledwie kilka słów angielskich. A jednak potrafił mnie oświecić w wielu kierunkach. Pouczył mnie Tlalanyane, że jego język ojczysty zwie się „setsawanu”, że słowo „jajtumele” oznacza w tym języku „dziękuję”, a zwrot „dobry żołnierz” brzmi „kusianu lesote”. Dużo słów różnych uczył mnie Tlalanyane z języka setsawanu... W pewnej chwili urwała się rozmowa. Przerwa między lekcjami. Milczymy, zajęci swymi myślami. Powoli, z powagą, wyjmuję Tlalanyane z kieszeni i wręcza mi bez słowa jednego — książeczkę do nabożeństwa. Potem znów zbiorę pieśni Beghuany, maleńką, kilkunastostronicową broszurkę, zatytułowaną „Dipsina tse setsawanu”. O, Tlalanyane jest przewidujący, Tlalanyane jest inteligentny.

Skończyliśmy pogawędkę. Ale Tlalanyane został przy mnie. Już mnie nie opuści do końca podróży. Siedzi jakiś sztywny, drewniany, dlonie trzyma na udach. Śmieszny ten Tlalanyane... Gdy spostrzeże, że patrzę nań z boku, nie zmieniając na jotę swej posągowej pozy, sięga z wysiłkiem brwi, jakby chciał okazać, że w tej chwili właśnie myśli nad czymś intensywnie, koncentruje się psychicznie. Naprężone mięśnie twarzy, wparte w przestrzeń nieruchome oczy, charakteryzują go surowo, okrutnie... Lecz trwa to krótko, chwilę tylko, bo oto twarz Tlalanyane — gdy stwierdzi, że przypatruję mu się w dalszym ciągu — ulega procesom szybkich przeobrażeń. Oto wygładziła się — moment — i już przeistacza się znowu. Brwi uciekają ku górze, niskie czoło zwiera się, znacząc się szeregami równoległych brzoź. Teraz twarz Tlalanyane wyraża najwyższe, ogłupiałe zdumienie. Patrzy najszerzej rozwartymi oczyma... I nagle w nieruchomej twarzy ogromne gały oczu Tlalanyane rozpoczynają ruch okrągły, zagarniający całą możliwą do uchwycenia przestrzeń przed sobą. Oczy krążą powoli, szkliste, wilgotne. Gdy w dookólnym biegu napotkają moje spojrzenie, coś jakby porozumiewawczy uśmiešek ledwie widoczny cieniem przemknie po twarzy Tlalanyane. Lecz oczy uciekają dalej, płyną w dalszym ciągu, jedynie tym ruchem sygnalizując

życie zdrtwiałej, jakby porażonej nieruchomości głowy.

Ruch ten, owo charakterystyczne wodzenie wzrokiem po obwodzie koła widzenia — przy pomarszczonym straszliwie czole, twarzy, wyrażającej najwyższe zdumienie — wykonują dzieci, wykonywaliśmy je kiedyś sami w tych pewnych szczególnych momentach, których naukowe, ściśle określenie będzie chyba zawsze jedną z największych zgryzot naukowej psychologii. Czasami są to może momenty strachu, częściej zakłopotania, w większości wypadków — chwile pogodnego, zdrowego nastroju do zabawy. Bawią się dzieci wówczas, — i chcą nas zabawić. Wiedzą, że będziemy patrzeć w nie z uczuciem i czekać. Czy wówczas myślą?... Wydaje się, jakby coś przygotowywały. Ale ich zamiarem jest tylko zatrzymać nas dla siebie... Może nam coś powiedzą, może nie. Jedno jest pewne — w tych chwilach są tak bardzo sobą, a ten ich wewnętrzny proces (może właściwie „procesik”, bo to przecież takie małe to, tak zewnętrzne, jak wewnętrzne „ono”) jest czymś bardzo złożonym, skomplikowanym.

U niego czarnego przyjaciela rzecz się jeszcze więcej komplikuje. Bo oto Tlalanyane po dwu trzech dookólnych poruszeniach oczu, nagle zwraca ku mnie twarz, rozjaśniając ją niespodzianie najbardziej uroczym z kompletu murzyńskich uśmiechów... Ciemna, duża gęba śmieje się do mnie. Szkliwem wyszczerzonych zębów, rozciągniętych warg. Śmieje się. Bezgłośnie, rozlewnie, rozpustnie... Ogromne uszy — te uszy Tlalanyane, cienkie, płaskie, przypominające błony nietoperza — kładą mu się w tył głowy. Czub gęstych włosów opada na kark... Ściągnięte powieki ukazują tylko maleńką żrenicę oczu, która drga, łśni, migocze błyskotliwie... Daj spokój, Tlalanyane... Później będziemy tak się śmiać do siebie. Teraz wojna.

— Wiem, Tlalanyane — chciałbyś za mną pogadać. Tak gruntownie, od początku różnych naszych spraw... Ja także, Tlalanyane, tego sobie życzę... Gdybym to tak na przykład umiał wadać tym twoim setsawanu... Hm... To powiedziałbym ci zaraz pewnie, że przy dwudziestu latach, które masz kolego, nie śmiejesz się tak u nas.

— Nie, nie powiedziałbym ci o tym. Śmieję się tak, bracie. Ja też miałem kiedyś ochotę tak się śmiać... Ale, ale, zaznajomiłbym cię za to, Tlalanyane, z inną sprawą. Weźna, zaszadniczą. Wyjaśniłbym ci — panie kolego — że ty, ja, my wszyscy tutaj, to jedno towarzystwo. Naczelny rząd (rząd uważasz?), gro-mada ssaków, wspólna differentia specifica — paznokcie zamiast pazurów, pełne użębienie — tylko ja starszy, ty młodszy, ja wyżej, ty niżej. Nie różnimy się, Tlalanyane. Nie różnimy się w tej chwili nawet ubiorem.

— Kolor skóry... Czy to ważne?... Tyś ciemny, mocny w kolorze. To każdy widzi. Jesteś wyraźny Tlalanyane... A my?... Biali... Jacy biali? Różowi, kremowi, popielaci — kolor łamany. Rozumiesz?... Sprawa podejrzana. Niewyraźni, niewyraźni jesteśmy.

— Tyle o tym mógłbym ci powiedzieć...

Szkoda... Ot, niedawno, taki obrazek, Tlalanyane... Aleksandria, dworzec kolejowy, sala restauracyjna dla pierwszej klasy podróżnych. Noc... Wśród stolików ledwie kilka tawerek bladych, chorych. Mroczno. Senni... Daleko gdzieś pociąg składają. Tlalanyane — chwila, która biegnie w dal senną pod równy takt jakby bijącego w naszym wnętrzu zegara... Popatrz przy jednym ze stolików — dziewczyna arabska. Młoda, ciemna, biedna, — może brudna. Pije herbatę... Wchodzi Egipcjanin z obsługi dworca kolejowego. Długi, w chałacie, fezie, — na pewno brudny. Spozstrzega dziewczynę, podchodzi do niej. Kilka słów stanowczych, szybkich, później — bełkot chrapliwy, gardłowy. Ujadanie. Dziewczyna — jak kobiety Wschodu — bierna, powolna, słowa nie wypowiada. Skuliła się. Jest taka maleńka. Sługus miota się. Doskakuje do dziewczyny, — szarpnął. Oderwał małą Arabkę od krzesła, niedopitej herbaty, rozrzuconych gratów. Ciągnie ku wyjściu... Nagle czyjaś ręka spada ciężko na plecy Egipcjanina. To żołnierz. Czarny, czarnutki, jak ty, Tlalanyane. Kapral, angielskie formacje... Urwał się paskudny charkot. Dalszy ciąg zdarzeń, to już szereg poruszeń, gestów, min, scena bezgłośnie. Pantomina... Uwołniwszy się od czarnej ręki, Egipcjanin umyka ku drzwiom peronowym. Zatrzymał się, odwrócił. Stoi wysoki, nieruchomy — kapłan w białym habicie. Patrzy na niego murzyn zimnym spojrzeniem. Zaczyna iść w jego kierunku... Rozmyślił się, zawrócił. Wśród między stoliki restauracji, gdzieś z za bufetu, gdzie dotąd niezauważony siedział, wy-

nosi worki żołnierskie. Składa je po drugiej stronie długiego stołu, przy którym kulila się mała Arabka. Usiadł. Jest na posterunku, który sam sobie wybrał... Egipcjanin stał czas jakiś, patrzył ponuro, brzydko, — odszedł...

— O widzisz, Tlalanyane, — ja już pewnych rzeczy nie dostrzegam, jak i nie dostrzegają też inni, którzy czekają w restauracjach dworcowych na odjazd pociągu. I może nie potrafiłbym spostrzec, nigdy, że małej arabskiej dziewczynie na stacji w Aleksandrii wyrażano krzywdę, gdyby nie twój brat, Tlalanyane, mój czarny kolega.

Zagadaliśmy się z Tlalanyane. A tu już kawał dnia umknął. Pociąg przebiegł już pustynię i miał osady arabskie, małe, ciche gromadki lepiarek, zszarzałych w oddechu gorących piaszków. Później — pierwsze miasteczka o domach bielonych, charakterystycznych szczupłością otworów okien i drzwi... Wstał już dzień duży, niebo wysokie, czyste, wysklepione nad nami, gdy wjechaliśmy w kraj pomarańczowego słońca.

Wagon wypełnia ostry, chłodny zapach świeżych pomarańczy. Zajadamy soczyste owoce z zapalem. Zachłannie. Beghuańczycy rzeżę, rozbawieni, śpiją. Rozbrzmiewają jedna po drugiej owe „dipsina” — pieśni Beghuany. Przysłuchuję się im. Chwilami mam wrażenie, że znalazłem się w trupie odbywającej artystyczne tournée. Dzień biegnie szybko, niezmiernie szybko.

Gdzieś po obiedzie jeszcze jeden punkt artystycznego programu. To ów mały Beghuańczyk, moje vis a vis, karzełek. Czołowy aktor trupy. Grandelokwencja, patetyczne słowa, sceny dramatyczne, komiczne, śmiech robiony, sceniczny. Świetna mimika, gestykulacja. Urodzony talent. Similli, ma imię Similli... Grał Similli z godzinę może, otoczony naokoło zwartym murem swych kolegów, podziwiany, uwielbiany. Wspaniały, wspaniały Similli... Teraz stało się dla mnie jasnym, dlaczego milczał z rezerwą, dlaczego tak zimno spoglądał na mnie — na jakąś tam bladą twarz, której obecność skonstatował z braskiem dnia na przeciwną ławce wagonu. Teraz rozumiem.

Zmierzcza się. Śpiewamy, — już wszyscy. Zatrzymaliśmy się. Przez szybę wagonu, w zielonkawo-wodnistym świetle widzę scenę... Stacja kolejowa, — jakaś duża, opustoszała. Peronem biegnie murzyn Beghuańczyk. Za nim oficer angielski z piaszczem w wyciągniętych rękach. Chce go zarzucić na ramiona żołnierza, którego wysłał gdzieś z rozkazem. To mu się nie udaje. Ten sam porucznik — później — obchodził wagony i troskliwie poprawia piaszczę i koce na zasypiających na ławkach jego pupilach. Bo jest chłód, zima, a to dzieci gorącej ziemi Południa.

Ucichły pieśni, gwar, rozmowy. Wagon zaległ w ciemności. Twarze mych kolegów odpłynęły w mrok, utonęły w ciszy. Śpi Beghuana...

Bliską mi się stałaś, Beghuano, przez ów jeden dzień życia. Nieraz otądz myślę będę o tych ziemiach wiecznych zielonych, nad którymi dnie przebiegają potokami słońca, a noce śpiją niebu, gwiazdami skropionemu, wciąż tę samą kantylenę miłości, grozy i tajemnicy... Beghuano!... Masz też pewnie — Beghuano — swą „wielką wodę”, taką największą z wszystkich twych wód, nad którą przybiega syn twój, młodzieniec w pięknej „pareo” na biodrach, niespokojnym spojrzeniem patrzy na jej błękitne rozłogi, zasłuchany w szepcie dziwnych, niewyraźnych tęsknot swej duszy. I zwraca od jej brzegów z uczuciem lęku, beżsiły... O niej, o wodzie tej, powie ci syn twój, Beghuano, gdy powróci z kraju białych ludzi — powie może z uśmiechem wzgardliwym, szyderczym — że jest mała, bardzo mała wodą, i nie przyzna się pewnie do najświętszej ze swych tajemnic, najgłębszej prawdy serca, że jest dla niego najważniejszą wodą świata... Lecz będzie żył tą prawdą i chodził znów w słońcu Beghuany, które jedynie uszczęśliwia.

Dojeżdżamy do stacji granicznej. Druga po północy. Wysiadam, — koniec kolorowego filmu. Jak poprzedniej nocy, wszystko pogrążone w głębokim śnie. Tlalanyane też spi. To przykre, — nie mam się nawet z kim pożegnać... Cicho, powoli przesuwam się przez wagon. Na peronie dworca spotykam angielskiego porucznika, dowódcę oddziału czarnych.

— Lesyho morena — mówię głośno, po żołniersku językiem setsawanu.

— Ouu... Ouuu... Good luck... good luck — słyszę w odpowiedzi od zdumionego porucznika słowa, które wyrażają mi te same życzenia, jakie i ja wypowiedziałem, pozdrawiając oficera językiem Beghuany.

Paczki do Rosji i innych krajów alianckich, SZWAJCARSKI DOM WYSYŁKOWY I ADRESOWY

Tel-Aviv

ul. Hess 1.

Jerozolima

ul. Ben Jehuda 2.

„EGO”

Rechowot

Keibel — Księgarnia nap.

Anglo-Palestyńskiego Banku.

Haifa

Hechaluc 59.

ODDZIAŁY WE WSZYSTKICH KRAJACH ALIANKICH.

KAZIMIERZ ALEXANDROWICZ

Stosunki handlowe polsko-jugosłowiańskie

Pod koniec ubiegłej wojny w atmosferze, przypominającej w niejednym obecną chwilę, odbył się w Lublianie zjazd przedstawicieli narodów zachodnio-słowiańskich. Byli tam obecni Polacy, Chorwaci, Serbowie, Słowacy, Czesi i Słowacy. Między innymi wspomniano tam po raz pierwszy o szlaku zachodnio-słowiańskim Gdańsk-Triest. Wydawało się to wówczas jeszcze rzeczą fantastyczną. Gdańsk nie przypadł Polsce, choć został włączony do jej obszaru zainteresowań, natomiast Triest przypadł Włochom, przez co pozbawiono całe słoweńskie zaplecze naturalnego portu, który leżał w gruncie rzeczy poza szlakami gospodarczymi Włoch.

Koniec obecnej wojny winien przynieść nam korzystniejsze rozwiązanie, gdyż Polska bez Gdańska do niej włączonego jest nie do pomyślenia, natomiast teza włączenia Triestu do Jugosławii jest coraz częściej dyskutowana i godna jest z naszej strony jak największego poparcia.

Linia Gdańsk-Triest, czyli łącząca Bałtyk z Adriatykiem, jest poza wielkim znaczeniem politycznym przede wszystkim linią, wzdłuż której grupują się zainteresowania gospodarcze zachodniej słowiańszczyzny oraz innych krajów Europy Centralno-Wschodniej. Niemcy od chwili okupacji tych obszarów starają się jak najbardziej zatrzeć tę naturalną linię zainteresowań wschodnio-centralnej Europy, zmieniając jej kierunek z północy i południa ku szlakom, prowadzącym z zachodu na wschód, względnie na południowy wschód. Tymi bowiem szlakami idzie ekspansja niemiecka.

Abstrahuując od aspektu politycznego, należy przypomnieć, że filarami tej linii Gdańsk-Triest są Polska i Jugosławia, one też łączą centralno-wschodnią Europę poprzez swoje porty bałtyckie i adriatyckie z wielkimi szlakami handlowymi świata. Współpraca Polski i Jugosławii przybiera w tym świetle na znaczeniu. Kolaboracja tych dwóch bratnich państw może przynieść rozwojowi gospodarczemu centralno-wschodniej Europy wielkie korzyści.

Centralno-wschodni obszar gospodarczy Europy, przylegający do linii Bałtyk-Adriatyk (morze Śródziemne), stanowi pewną całość nie tylko pod względem swych właściwości, ale i braków i niedociągnięć. Obszar ten, posiadający całą gamę bogactw surowcowych i wielki potencjał pracy ludzkiej, został przy braku potrzebnych inwestycji skazany na rabunkową infiltrację Niemiec i dzięki temu został odcięty od wzięcia pełnowartościowego udziału w handlu międzynarodowym. Niemcy walczyły z niesłabnącą ciętością o odcięcie firm i banków polskich od bezpośredniego kontaktu ze światem. Udało się to mimo wzrastającej siły gospodarczej Polski. Natomiast dla Jugosławii infiltracja gospodarcza Niemiec stała się poprostu katastrofą. Wystarczy na jednym przykładzie wykazać, jak ujemnie odbiło się to również na stosunkach handlowych polsko-jugosłowiańskich. Jugosławia jest jednym z najpoważniejszych producentów bauxytu w Europie, z którego, jak wiadomo, uzyskuje się drogą elektrolizy aluminium, potrzebne do produkcji lotniczej. Otóż Polska sprowadzała pewne ilości bauxytu z Niemiec, bauxyt ten jednak był pochodzenia jugosłowiańskiego. Ten opiekany stan rzeczy był dzięki hegemonii gospodarczej Niemiec, zaznaczającej się najsilniej na Bałka-

nach, nie do przewyciężenia. Niejednokrotnie miały miejsce próby nawiązania wymiany towarowej między Polską a Jugosławią, np. wymiany koksu polskiego dla produkcji stali w Jugosławii (nowo założona huta Wares) na mangan jugosłowiański dla Górnośląska, — zawsze próby te były z zewnątrz rozbite.

To też stosunki handlowe polsko-jugosłowiańskie przedstawiały się coraz gorzej. Import z Polski do Jugosławii wynosił w roku 1928 — 2.7% całości polskiego handlu zagranicznego, w 1934 r. — 1.9%, w 1935 r. — 1.7%, w 1936 r. — 1.6%, w 1937 r. — 1.1%, w 1938 r. — 0.8%, natomiast przed wojną spadł do 0.5%. Nie wiele lepiej przedstawiały się odsetek eksportu z Jugosławii do Polski, który spadł w 1938 r. do 1.5% całości eksportu Jugosławii. Ten stan rzeczy należy określić jako będący wbrew naturze i wymaga on po wojnie skierowania na tory normalne, którymi winne rozwijać się stosunki handlowe na obszarze między Bałtykiem i Adriatykiem, a w szczególności między Polską i Jugosławią. Eksport węgla i koksu polskiego oraz pewnych wyrobów przemysłowych do Jugosławii w zamian za surowce, owoce, tytoń i t. d. winien utworzyć drogę w tym kierunku.

Ażby umożliwić taki rozwój stosunków handlowych, muszą być w obu krajach stworzone warunki produkcji i dlatego powinny być po wojnie uczynione w nich odpowiednie inwestycje, których, oczywiście, nie da się przeprowadzić po obecnym zniszczeniu tylko na podstawie środków, zmobilizowanych na rynku krajowym, pomoc zagranicy jest w tym celu konieczna. Mówi się często, że pomoc ta zależy od istnienia odpowiedniego układu politycznego w Centralno-Wschodniej Europie. Zwłaszcza w U. S. A. istnieje tendencja traktowania tego obszaru zawsze łącznie. Twierdzi się, że na nim mieszka przeszło 120 milionów ludzi, których standard życiowy jest niski, i że aby mieszkancie tego obszaru mogli stać się interesującym dla zagranicy importerem, musi stać się producentem, zdolnym do eksportowania. Intensyfikacja produkcji rolniczej na całym tym obszarze jest jednym z pierwszych warunków. Polska musi otrzymać możliwość poczynienia odpowiednich inwestycji przemysłowych do dalszego rozwoju istniejącego już stanu rzeczy, natomiast Jugosławia musi przede wszystkim dążyć do zbudowania nowoczesnych kopalń, aby umożliwić odpowiednią eksploatację swoich bogactw surowcowych. Należy tu mieć na myśli eksploatację bauxytu, antymonu, chromu, miedzi, ołowiu, cynku, manganu rudy żelaznej itd. Kapitał zagraniczny był już przed wojną zainteresowany w tych surowcach. Jugosławia winna jednak przy jego pomocy przystąpić do jak najsamodzielniejszej eksploatacji tych bogactw, bo to otworzy przed nią pełnowartościowe możliwości eksportowe, a co za tym idzie, możliwość zbudowania w przyszłości własnego przemysłu.

Dźwignięcie stanu ekonomicznego Centralno-Wschodniej Europy jest jednym z najważniejszych elementów jej konsolidacji politycznej. Wzrastające tym obszarem zainteresowanie kapitału zagranicznego, a przede wszystkim Anglii i U. S. A., będzie oznaczało również zainteresowanie nim polityczne. W dziele stworzenia tej tak ważnej pozycji w tej części Europy współpraca Polski i Jugosławii, które łączą ten obszar z szlakami morskimi, jest jednym z podstawowych założeń.

Nożycami przez prasę niemiecką

Dr Goebbels o porażkach i odwrotach

Dr. Józef Goebbels od szeregu lat co tydzień zamieszcza w swym tygodniku „Das Reich” artykuły wstępne. Dłgie: około 350 wierszy.

Podpisany zadal sobie trud podążenia za harcamy dra Goebbelsa na przestrzeni niespełna trzech lat: od zimy 1941 r. do połowy 1943 r. W przestudiowanych artykułach znalazł wiele rzeczy ciekawych.

Oto np. co i kiedy pisał dr. Goebbels o odwrotach i porażkach wojennych.

[W r. 1941 po zdobyciu przez Niemców Krety, Goebbels zaatakował propagandę brytyjską. W artykule p. t. „Heroizowanie odwrotów” („Das Reich” z 8 czerwca 1941) czytamy m. inn.:

„Można myśleć tak lub inaczej o postawie narodu brytyjskiego i męstwie żołnierzy imperialnych, ale jest rzeczą pewną, że nie zasłużyli oni na tak nędzną prasę, na tak dyktanckie radio i tak partacką propagandę, jaka uprawiana jest obecnie w Londynie”.

„Upadek Krety jest najlepszym tego dowodem. Jeszcze dźwięcza nam w uszach buńczuczne zdania p. Churchilla, wypowiedziane w Izbie Gmin, gdy pierwsze wiadomości o lądowaniu niemieckich oddziałów na Krecie odebrały mowę opinii światowej: że chodzi o stosunkowo małe oddziały, które w żadnym razie nie mają znaczenia militarnego, że w znacznej części zostały już zniszczone lub wzięte do niewoli... że poza tym Londyn uważa obronę Krety za kwestię honoru”.

„Jeżeli p. Churchill stawiał swoją z gruntu fałszywą prognozę o Krecie wbrew swej lepszej wiedzy — powinien być usunięty przez naród angielski, bo bez naglącej potrzeby przyczynił mu najcięższe szkody moralne; jeżeli zaś istotnie wierzył w tę prognozę — powinien być przez naród usunięty, ponieważ jako wódz Imperium Brytyjskiego w jego walce o istnienie, nie posiadał nawet słabego wyobrażenia o stosunku sił walczących”.

„I ożby zrobić z nami naród niemiecki, gdybyśmy choć jeden raz odważyli się tak nadużyć jego cierpliwości i tak handryczyć jego dobrym i honorowym imieniem”.

„Nie mówmy o tym więcej — pisze dalej — zbiera się na wymioty. Jeżeli będziemy jeszcze długo słuchać radia londyńskiego, to w końcu udowodni nam ono, że... wartość i męstwo armii poznaje się nie po jej tryumfach, lecz po klęskach... Powtarzają oni tylko ciągle ten sam frazes: jesteśmy wprawdzie bici, ale jesteśmy lepsi. Przegrujemy wprawdzie kampanie, ale Hitler przegrywa wojnę! Niemcy są wielkie w zwycięstwach, ale my jesteśmy o wiele więksi i o wiele bardziej godni podziwu w odwrotach!”

„Nie można na dłuższą metę heroizować odwrotów bez spowodowania najcięższych spustoszeń w duszy danego narodu”.

Oto konkluzja wywodów dra Goebbelsa — made latem 1941: „odwroty są rzeczą bardzo brzydką, szumne zapowiedzi zwycięstw lub twardej obrony, dokonywane przez meżów stanu obowiązują i, jeśli się nie sprawdzają, powinny spowodować ich przepędzenie”.

W artykule pod poetycznym tytułem „Gdy wiosna wstępuje w góry” (9 marca 1941 r.) dr. Goebbels napisał:

„Zima... w której Anglia pokładała całą swoją nadzieję, ma zamiar opuścić pole. Jej generalowie Głód, Mgła, Mróz i Rewolucja czekają już na dymsię. A teraz trzeba znowu stać i walczyć. Już niezadługo gazety i radiostacje będą miały mniej do czynienia z teoretycznymi polemikami, a więcej z faktami”.

Potem przyszła zima wojenna w Rosji. Nolens volens trzeba było powrócić do tematu odwrotów i porażek.

„W ciężkich i krwawych walkach obronnych na Wschodzie — czytamy w „Das Reich” z 11 stycznia 1942 r. — odpięta niemiecka armia stale ponawiane bez skrępowań i bez względu na straty w ludziach, rozpaczliwe usiłowania przełamania frontu przez bolszewicką soldateskę. Na śnieżnych i lodowych polach Rosji toczą obecnie żołnierze niemieccy i ich sprzymierzeni walkę o istnienie Europy”.

Mineły cztery miesiące. Wiele, bardzo wiele kartek urzędowych z krótką wiadomością „gefallen für Führer und Vaterland” rozesłano do rodzin niemieckich, trochę za dużo kobiet przywdziało żałobę. Dr. Goebbels zmuszony był zająć stanowisko w tej sprawie. Jeszcze nie zrezygnował z koncepcji wojny obronnej, jeszcze nie odważył się użyć słowa „porażka”. W dniu 17 maja 1942 r. pisał:

„Skoro... mówimy o gigantycznej bitwie obronnej to przed tym trzeba wystąpić przeciwko szeroko rozpowszechnionemu błędowi, jakoby chodziło tu z naszej strony o defensywę z rozbudowanego systemu pozycji w sensie frontu zachodniego z lat 1915 — 1918... Chodziło tu przede wszystkim głównie o to, aby po odebraniu przewidzianych dla ofensywy punktów wypadowych, zdobyty teren utrzymać jako pole walki i w ten sposób uniemożliwić wrogowi wielkie operacje”.

„Któż nie zwrócił jeszcze uwagi — wywodzi — że twarze naszych żołnierzy zmieniły się w trakcie tej zimy na Wschodzie. Widać je w prze-

glądach tygodniowych na fotografiach, lub gdy się z nimi rozmawia... Ich rysy stały się twarde i bardziej kamienne. Uśmiech działa na te twarze jak łaska. Nasi żołnierze już nie opowiadają tak dużo, jak po kampanii polskiej, albo po ofensywie zachodniej”.

Słusznie: bo i o czym?

Wybito dużo oficerów, inni postarzelni nieco: „... otrzymaliśmy listy z frontu wschodniego od młodych poruczników, którzy dowodzą teraz kompaniami. Piszą oni poważnie i rzeczowo, jak gdyby mieli swoje 60 lat na karku”.

„Nikt nie będzie mógł w przyszłości mówić o niemieckim bohaterstwie, nie wspominając na pierwszym miejscu tej barbarzyńskiej zimy pod Wolkowem, Demiańskim, Jarkowem i Rzewem, nad Dońcem i pod Kerczą. Przez stulecia błyszczeć będzie słowo, w którym to bohaterstwo się zawiera: „Ostfront”.

To już chyba jednak heroizowanie — nie odwrotów, broni Boże, — narażenie „wojny obronnej”.

Spadło znów trzysta kilkadziesiąt kartek z kalendarza. Zrobił się maj 1943 r. Minęła druga zima wojenna w Rosji, wygmano Niemców i Włochów z Afryki. Goebbels musiał zmienić t. zw. „pogląd na mniemanie”. „Papier jest cierpliwy, a mało kto zagłada do dawnych roczników „Das Reich”. Ktośby pamiętał, że dr Goebbels obrzucał kiedyś Churchilla za fałszywe przewidywanie i nawet żądał jego dymisji.

[Pisze więc rozsądnie i z godnością w nrze z dnia 2 maja 1943 r.:

„W czasie trwania wielkich politycznych albo militarnych wydarzeń zrobienie t. zw. przeglądu sytuacji jest zawsze rzeczą bardzo trudną, aby nie powiedzieć niemożliwą. Sytuacja bieżąca jest nie tylko czymś, co się stało — znajduje się ona stale w stadium powstawania. Kierownictwo wojenne wie wprawdzie po większej części zupełnie dokładnie, czego samo chce i co może — ale z drugiej strony zależne jest od całego szeregu okoliczności, które są poza zasięgiem jego bezpośredniego wpływu; czego chce wrog — może tylko przyjmować, a co może — tylko przypuszczać. Tak więc, jeśli chodzi o osąd określonej sytuacji wojennej również w kołach wjaśnionych jest się zdaniem przeważnie na szacowanie”.

Po tym przemądrzym wstępie coś nie coś o odwrotach. Tym razem nazywają się one już „porażkami”.

„Jeżeli Wielka Brytania osiąga obecnie na peryferiach prowadzenia wojny mniej lub więcej ważne sukcesy, to posiadają one w każdym razie charakter względny... podczas gdy nasze sukcesy są absolutne, to znaczy dla kierownictwa wojennego rozstrzygające ważne, a nasze sporadyczne porażki nie posiadają znaczenia rozstrzygającego, czyli nosily i noszą charakter względny”.

„W praktyce my jesteśmy nie do pobicia, chyba, że dobrowolnie i bezpodstawnie zaniechamy walki. Że o tym w ogóle nie ma mowy — wie każdy także po stronie nieprzyjaciela”.

Ostatecznie trzeba było jednak wythumaczyć tę głupą afrykańską historię Czemuży nie sięgnąć do einsteińskiej teorii względności. Goebbels z „suwerennym spokojem” — tytuł artykułu z dnia 23 maja 1943 r. — pisał:

„Zwycięstwo o wymiarach początkowo prawie niegodnych uwagi może w pewnych okolicznościach okazać się rozstrzygające, a inne, osiągnięte na olbrzymich obszarach, przy użyciu olbrzymich mas ludzkich i materiałów, może zblednąć szybko i zejść do roli wydarzenia o znaczeniu przejściowym. Zupełnie tak samo jest z porażkami, a nawet klęskami. Np. opuszczenie przez Anglię w maju 1941 r. kontynentu miało wagę historyczną... Nie można tego powiedzieć o sukcesach mocarstw anglo-saskich w Afryce. O ile mogą one mieć pewien wpływ psychologiczny na neutralną opinię publiczną — o tyle nie mają rozstrzygającego dla wojny znaczenia”.

Jak długo nasi wrogowie nie posiadają siły militarnej, aby wrócić na kontynent europejski i uczynić go przedmiotem walki — tak długo są oni pobici”.

Przyszło bombardowanie Niemiec. Nie wystarczyły tu strzepy teorii względności, trzeba było stworzyć teorię kryzysów. Bardzo ciekawa teoria... warto przeczytać artykuł „O istocie kryzysu” („Das Reich” 30 maja 1943 r.):

„Historia wszystkich epok nie zna przykładu, aby wojna, ba, nawet bitwa, rozegrała się bez kryzysu... Schl'effen mówi dlatego, że bitwa bez kryzysu nie jest bitwą, ale potyczką. Do historii przechodzi jako nieśmiertelne takie dokonania militarne, które osiągnięto nie tylko przy ogromnym udziale ludzi i sprzętu, ale wśród napięć, trosk i niebezpieczeństw”.

„Łatwe zwycięstwa błędna w swym działaniu na dalszą metę. Ale nieprzemijająca jest chwila meżów stanu, wodzów i żołnierzy, którzy dźwierzają sztandar wiary w okolicznościach, wyglądających niekiedy na pozór beznadziejnie, którzy nigdy, także w nieszczejściu, nie tracą z oczu gwiazdy tryumfu, który nadejdzie”.

Tak nie mógłby pisać szef niemieckiej propagandy, jeszcze w roku 1941 lub 1942. Brzmi to trochę jak pochwała aliantów. Tempora mutantur. Ale jedmy dalej:

„Kryzys zazwyczaj rozwija się z oszałamiającą szybkością i, jak nagle przychodzi, tak znika... Jeżeli kryzys zostanie szczęśliwie przezwyciężony, to nie daje w dalszym wyniku żadnego osłabienia, ale przynosi siłę. Jak człowiek po przetrzymaniu ciężkiej choroby czuje podnoszące się w nim samopoczucie życia — tak i naród Im większe było niebezpieczeństwo, na które się było narażonym, tym większy tryumf przewyciężenia go. Temu nie przeczy fakt, że w czasie trwania niebezpieczeństwa chwilami zdawać się mogło, że mu się ulegnie”.

Kryzys jest nie tylko chorobą; jest i lekarstwem:

„Wraz z nim zostają wylączone całe szeregi zaległości chorobowych, które bez pomocy kryzysu tkwiłyby nadal w stanie ukrytym. W tym sensie można nawet mówić o leczącej sile kryzysu”.

Na zakończenie jeszcze jeden cytat:

„Nie jest potrzebnym — napisał dr Goebbels 20 czerwca 1943 r. — aby się miało rację w każdej poszczególniej sprawie wojny, rozstrzygającym jest tylko, aby się miało rację na końcu. Dobrowolne, a także nieświadome błędy znajdują swe usankcjonowanie w zwycięstwie”.

(As-set)

NOWOŚĆ!

MICHAŁ BOBRZYŃSKI

DZIEJE POLSKI W ZARYSIE

TOM I

WYDANIE CZWARTE

Nakładem Wydawnictwa „W D r o d z e” w Jerozolimie.

Cena 350 milsów.

W 20 numerach „W D r o d z e” drukowali swe prace następujący autorzy: Alexandrowicz Kazimierz, Apenszlak Paulina, As-set, Bader Karol, Baliński Stanisław, Batdori Sulamit, Bazarewski Jerzy, ks. Benoit, Piotr, Bielatowicz Jan, Bojczuk Ludwik, Bratkowski Włodzimierz, Broncel Zdzisław, Broniewski Władysław, Brzega Wojciech, Chomentowski Władysław, Czapski Józef, Czechowicz Jadwiga, Czuchnowski Marian, Danilewiczowa Maria, Domański Witold, Estreicher Karol, Fajans Roman, Falska Dorota, Gałęcki Jerzy, Giełdziński Henryk, Godowski Jan, Górecki Marian, Gotlib Henryk, Gram Michał, Grzybowski Kazimierz, Hagemejer Włodzimierz, Herbert Porucznik, Herling-Grudziński Gustaw, Hoffman Jakub, Holme H. C., Hirsberg J., Janusz Jan, Jarema Józef, Jaworski Władysław, Jono Michał, Jordan Jan, ks. Kantak Kamil, Kejlin Irena, Kleszczyński Ignacy, Knake Janusz, Kobjrzyński Bolesław, Kościelkowski Stanisław, Kot Stanisław, Kotiuziński Antoni, Kotowicz Zygmunt, Krakowiecki Anatol, Kurdybacha Łukasz, Larren-Lenczowski Jerzy, Lenz Stanisław, Lubartowski Stefan, Łączkowski Bohdan, Łobodowski Józef, Makowski Michał, Michalski Franciszek, Mieroszevska Ewa, Milewski Zygmunt, Mine Bronisław, Minder Jerzy, Morawiec Zdzisław, Mrowiec Alfons, Nadlerowa Eugenia, Naglerowa Herminia, Nowak Józef, Obertyńska Beata, Olz St., O-ski J., Paczkowski Jerzy, Pajak Antoni, Parnicki Teodor, Petry Maria, Piowar Lech, Pleszczyński Stanisław, Prus Konrad, Pruszyński Ksawery, Rajkowski Witold, Riwet A., Rzezycki Ignacy, Skarpiński Adam, Skolimowski Jerzy, Sokołow Florian, Sowiński Tadeusz, Szanfary Teofil, Szeperbie Dominik, Szymański Antoni, Terlecki Tymon, Tuwim Julian, Waliński Andrzej, Wańkiewicz Melchior, Weintraub Wiktor, Wierzyński Kazimierz, Wittlin Tadeusz, Wojtecki Wojciech, Wolica Barbara, Wolker Jerzy, Żulawska Teodoja.

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

WYBÓR POEZJI

1925—1944

Wiersze wybrane z tomów:

„Wiatraki”, 1925, „Dym nad miastem”, 1926, „Troska i pieśń”, 1932, „Krzyk ostateczny”, 1939, „Bagnet na broń”, 1943.

Stron 134.

Nakładem Wydawnictwa „W D r o d z e” Jerozolima.

Z PRASY O BCEJ

Jedność Europy

Na temat jedności Europy pisze „The Times” z dn. 15 grudnia ub. r.:

„Jest rzeczą znaną, że każda poważna dyskusja na temat przyszłości Europy prowadzi do wniosku, że Europa jest jednością i że musi być traktowana jako taka przez wszelki praktyczny plan odbudowy. Twierdzenie to nie pociąga za sobą chęci narzucenia jednolitego szablonu wielkości czy organizacji na zdrową różnorodność narodowości w Europie... Ale Europa jest jednością w tym sensie, że żaden plan bezpieczeństwa militarnego czy też porządku gospodarczego, któryby nie traktował Europy jako całości, nie może skutecznie pracować. Regionalne organizacje bezpieczeństwa na większą skalę, jakich próbowano w okresie między dwoma wojnami, okazały się iluzorycznymi, ponieważ baza, na której się opierały, nie była dostatecznie szeroka; jeśli zaś były one niewystarczające wtedy, to tym bardziej niewystarczające okazały się po obecnej wojnie. Działalność U.N.R.R.A. wskazuje na ten sam morał w dziedzinie gospodarczej. Wydajność wymaga obszernego planu i obszernej akcji, nie ograniczonej granicami narodowymi; to samo zaś będzie również słuszne, jeśli idzie o odbudowę gospodarczą na dalszą metę...”

„Organy funkcjonalnej czy politycznej jedności, stworzonej w Europie teraz czy w przyszłości, nie będą jednak zagrażać słusznemu dążeniu narodów europejskich do wolności i samostanowienia. Przeciwnie, sprawią one, iż wykonywanie tych praw będzie łatwiejsze, gdyż bez ryzyka anarchii czy wojny; gdyż tylko zasadnicza jedność czyni różnorodność zarówno możliwą, jak i bezpieczną. Jest to już ogólnie uznana zasada myślicieli politycznych, że wolność zakłada sprawowanie władzy („authority”). Istnienie centralnych organów, wykonywujących w specyficznych dziedzinach minimum władzy, koniecznej dla stworzenia w Europie mocnych fundamentów militarnego i gospodarczego bezpieczeństwa, jest jedną rzeczą, która może na dalszą metę zagwarantować mniejszym narodom wolność, pozwolić im zachować ich indywidualność i tożsamość oraz ocalić Europę przed rozbitciem...”

Czego chce Europa?

W październikowym zeszycie londyńskiego miesięcznika „Nineteenth Century and After” redaktor pisma Voigt zajmuje się zagadnieniem celów wojny. Z artykułu tego podajemy kilka cytatów.

„Europa wierzy w Anglię, — pisze Voigt. — Mit niemiecki został złamany nie tylko dlatego, że Rzesza przegrała wojnę, ale i z powodu nieopisanych barbarzyństw, popełnianych przez Niemców. W Europie Wschodniej i Środkowej zniknęły również mit rosyjski, i to pomimo decydującej roli, jaką Czerwona Armia odegrała w pokonaniu Niemców. Zbyt wiele wiadomo o życiu w Rosji, aby mit ten mógł istnieć...”

„Europa Wschodnia — pisze Voigt — modli się gorąco o jak najszybszy odwrót Niemców, tym niemniej boi się powrotu Rosjan. Mało który kraj w Europie nie modli się o okupację brytyjską, lub przynajmniej anglo-amerykańską. Sceny powitania, jakie widzieliśmy na Sycylii, powtórzyłyby się niemal wszędzie. Na Bałkanach, w Czechosłowacji, w Polsce i w krajach bałtyckich radość przybrałaby formę szalu...”

„Ale — czytamy dalej — wiara w Anglię rozwiała się, jeśliby Wielka Brytania popierała rewolucję; Europa obawia się rewolucji nie tylko dlatego, że przyniosła ona rozlew krwi, zniszczenie i nędzę, lecz dlatego że żadna rewolucja nie dotrzymuje swoich obietnic”. Zdaniem autora artykułu wchodzimy w okres, w którym będzie wyjątkowo mało rewolucji. „Konjunktura na rewolucję zaczęła się podczas poprzedniej wojny i skończyła się podczas obecnej...”

„Jednym z powodów, — pisze Voigt — dla których wojska brytyjskie byłyby radośnie witane w tak wielu państwach, jest wiara, że nie mieszałyby się one do życia kraju, że pozwoliłyby mu one na... opracowanie własnego systemu politycznego i zorganizowanie w spokoju prawowitych władz. Europa domaga się wolności i swobody kształtowania się w sposób różnorodny...”

„Narody europejskie — kończy Voigt — pragną, by je pozostawiono w spokoju. Pragną one pewnej nadziei na bezpieczeństwo dla siebie i następnych pokoleń w ustabilizowanym świecie. Pragną one pracy, której nie przekreślałyby ustawiczne kryzysy, wojny czy rewolucje. Pragną one... ochrony przed wszystkim pożerającym państwem. Nie chcą słyszeć już kłamstw, nie chcą już propagandy. Nade wszystko zaś pragną sprawiedliwości...”

Ewolucja Czerwonej Armii

Niezmiernie ciekawy artykuł na temat charakteru i ewolucji armii sowieckiej ogłosił w październikowym zeszycie nowojorskiego kwartalnika „Foreign Affairs” Leland Stowe. Stowe miał możność obserwowania armii sowieckiej z różnych perspektyw: w czasie wojny sowiecko-fińskiej był w Helsinkach korespondentem „Chicago Daily News”, zaś w r. 1942 przebywał w Rosji w charakterze amerykańskiego korespondenta wojennego.

Stara się on w swym artykule odpowiedzieć na pytanie, jak to się stało, że Czerwona Armia, która okazała się tak niedołąną w wojnie fińskiej, zwłaszcza w pierwszej jej fazie, później miała tak znakomite osiągnięcia z przeciwnikiem bez porównania groźniejszym, bo z Niemcami.

W pierwszym rzędzie jest to problem dowództwa. Starsi dowódcy, którzy wypłynęli jeszcze w czasie wojny domowej, okazali się niedołąnymi i zostali stopniowo zastąpieni przez innych. Wołoszylowa wykończyła wojna fińska, Budionnego — klęska armii ukraińskiej w lecie 1941 r., wreszcie Timoszenko — katastrofalne przerwanie się Niemców pod Rostowem dn. 25 lipca 1942 r. Rosjanie przez dłuższy czas nie podali do publicznej wiadomości, że po klęsce tej, w sierpniu 1942 r., Timoszenko został usunięty ze stanowiska wicekomisarza obrony i że na miejsce jego przyszedł Żukow.

W toku wojny wypłynęli inni, młodszy dowódcy. Aż do wiosny ub. r. nie ogłaszano ich nazwisk. Są to wszyscy ludzie, mający przeważnie niewiele ponad czterdziestkę, trafiają się wśród nich i ludzie tak młodzi, jak Rodimcew, który został generałem porucznikiem, mając lat 36. Jako dowódców, którzy stoją dziś na czele sowieckiej armii wojennej, wymienia Stowe — po Stalinie — marszałków: Żukowa, Wasilewskiego (szef sztabu), Nowikowa (dowódca sił lotniczych) i Woronowa (dowódca artylerii).

Jako ważny czynnik, który pozwolił Rosjanom przetrwać falę ciężkich klęsk 1941 i 1942 r., wymienia Stowe — wbrew powszechnej opinii — instytucję komisarzy wojennych. Instytucja ta została w armii sowieckiej przywrócona dekretem z dn. 16 czerwca 1941 r. Postronni obserwatorzy nie zorientowali się wówczas, że nowy komisarz otrzymał tu funkcje różne od dawnego. Tamten miał dbać przede wszystkim o czystość i propagandę doktryny partyjnej, u nowych komisarzy obowiązki partyjne schodziły na trzeci plan; mieli oni dbać w pierwszym rzędzie o „morale” wojska, o jego gotowość bojową. I z tego zadania wywłazali się na ogół dobrze. Jeśli instytucja ich została zniesiona w październiku 1942 r., to nie dlatego, jakoby z zadania swego wywłazali się źle, ale po pierwsze dlatego, że Czerwona Armia miała wielkie braki w kadrze oficerskiej, które chciało uzupełnić komisarzami, po drugie zaś w momencie kiedy armia ta przechodziła do działań ofensywnych, postanowiono jej zapewnić bardziej jednolite dowództwo.

Zmieniła się też w czasie wojny atmosfera, panująca w Czerwonej Armii. Stalin wynagrodził swych zwycięskich oficerów i żołnierzy odznakami, które uczyniły z nich elitę w stopniu dużo znaczącym od jakiegokolwiek sowieckiej instytucji w przeszłości. Oficerowi sowieccy noszą obecnie na ramionach olbrzymie epolety, ozdobione złotymi lampasami. Ci, którzy są w randze powyżej pułkownika, mają także jasnoczerwone lampasy na spodniach. Mundury stają się dużo bardziej wypracowane. W czasie pierwszych ośmiu miesięcy wojny oficerowie, będący na urlopie w Moskwie, nie kłopotali się zbytnio o swój wygląd zewnętrzny, wyjąwszy pewien stopień schludności. Często chodzili w mundurach frontowych, w butach niezgrabnych, ale wyłożonych ciepłym filcem, i nosili tyle tobołów, ile się tylko dało. Jest to dziś surowo zabronione. Oficerowie musi nosić swój najlepszy mundur, musi przypominać publiczności, że armia ta reprezentuje coś specjalnego, że jest to pewna klasa i pozycja...

„Sowiecki plan odbudowy powojennej, ogłoszony w zarysie w Moskwie dn. 22 sierpnia 1943 r., przewiduje stworzenie dziewięciu szkół wojennych, któreby kształciły na oficerów Czerwonej Armii chłopców w wieku lat od 8 do 17. Szkoły te, ochrzczone imieniem Aleksandra Suworowa, który poblił Karola XII pod Połtawą (erudycja historyczna nie dopisala tutaj amerykańskiemu autorowi, — przyp. red.), przypominają pod wieloma względami szkoły i internaty kadeckie z przedrewolucyjnych dni.

Wszystko to wskazuje na to, że w Czerwonej Armii panuje dziś nowy ton. Jest to ton elitarnej organizacji wojskowej, która kładzie coraz większy nacisk na nacjonalizm, a mniej — znacznie mniej — podkreśla doktrynę rewolucyjną...”

Z innych danych artykułu warto jeszcze podnieść wysoką ocenę jakości samolotów sowieckich, daną przez Stowe’a, oraz jego obliczenia sowieckich strat wojennych w armii i wśród ludności cywilnej. Stowe oblicza straty te na 15 do 20 milionów.

Sfora o sytuacji we Włoszech

Londyński „Daily Mail” z dn. 29 listopada ub. r. przynosi artykuł Sforzy, domagający się abdykacji króla:

„Podobnie jak jest rzeczą niemożliwą pomyśleć o Francuzach, buntujących się przeciwko Niemcom w imię Pétaina, jest rzeczą niemożliwą pomyśleć, iż Włosi mogą się skupić wokół króla, który podpisał tyle proklamacji za faszyzmem i przymierzem z Niemcami.

Podczas gdy olbrzymia większość Włochów domaga się abdykacji obecnego króla, a wielu z nich chciałoby widzieć Badoglio jako regenta, nie powinno się zagrać zapominać, że abdykacja, nie będąc wcale posunięciem rewolucyjnym, jest jednym z najbardziej ortodoksyjnych narzędzi tradycji monarchicznej. Jest to jedyna droga, do której wstąpił, gdy naród stara się zachować możliwe korzyści monarchii, a równocześnie pozbyć się monarchów, których dalsze pozostanie na tronie nie jest już rzeczą możliwą...”

„Główną przyczyną, dla której południowe Włochy robią dziś wrażenie oszołomych, — tak jak człowiek trzęsieniu ziemi, — jest brak przykładnych sankcji przeciwko zdrajcom i ich współnikom.

Faszyzm był jak rak; i obecnie ukryta, pełna hipokryzji choroba zajęła jego miejsce, — najwyżsi współwinowajcy faszyzmu starają się wytłumaczyć Włochom, że długotrwała tyrania faszyzmu i zbrodnia wojna przeciwko Sprzymierzonym były tylko epizodami, w których nikt nie zwinął i nad którymi należy zaciągnąć zasłonę milczenia...”

Reforma gabinetu brytyjskiego

Powojenny gabinet brytyjski będzie jeśli idzie o organizację i ilość tak bardzo różny od przedwojennego, stwierdza londyński „The Economist” w artykule p. t. „Ministries and Ministers”, ogłoszonym w numerze z dn. 27 listopada ub. r. Powstał już szereg ministerstw, jak np. nowe Ministerstwo Planowania Miast i Wsi („Ministry of Town and Country Planning”), szereg zaś nowych ministerstw powstanie:

„W wykonaniu rzeczywistego programu, żywności, pracy i mieszkań” potrzeba ściśle określonych Ministerstw Żywności, Przemysłu, Handlu, Spraw Mieszkaniowych i Zdrowia jest rzeczą prostą, niezaprzeczoną. Nie można sobie wyobrazić skromniejszego programu reform. Ale z drugiej strony istnieje niebezpieczeństwo mnożenia ministerstw. Główne trudności współczesnej administracji powstają wskutek konieczności trącenia

czasu dla „koordynacji”. ...a ilość zużytej energii zwiększa się w postępie geometrycznym w miarę wzrostu ilości jednostek, których pracą trzeba koordynować.”

Istnieje naogół przekonanie, że małe ministerstwa o ściśle określonym zakresie pracy pracują dużo lepiej od olbrzymich, wszechstronnych ministerstw, ale istnieje także — z drugiej strony — niebezpieczeństwo „balkanizacji” gabinetu. „Przecież państwo nie może być rozdane, ani też wyższa polityka nie może być prowadzona przez gabinet, z którego możnaby złożyć trzy drużyny piłki nożnej”. Autor widzi dwa rodzaje środków, któreby umożliwiały wyjście z sytuacji. Po pierwsze, podobnie jak obecnie w czasach wojny w ramach pełnego gabinetu istnieje węższy Gabinet Wojenny, tak i po wojnie należy zachować instytucję Gabinetu Wewnętrznego, złożonego z kilku ludzi, którzyby prowadzili właściwą politykę. Po drugie zaś, podobnie jak obecnie istnieją już ministerstwa „grupowe”, takie jak Wooltona (minister odbudowy), Lytteltona i Churchilla, które koordynują pracę pewnej grupy ministerstw i mają dostarczać im bodźców i projektów, należy także „grupowe” ministerstwa zachować i po wojnie. W ogóle gabinet powinien się dzielić na szereg sub-gabinetów, obejmujących kilka ministerstw o zakresach pokrewnych.

Wszystkie te reformy — tłumaczy autor — nie wymagają ani zmian konstytucji, ani pisanych ustaw.

Najstarszy dyktator

Pod takim tytułem londyński konserwatywny tygodnik „The Observer” ogłasza w numerze z dn. 17. października ub. r. artykuł o dyktatorze Portugalii, Salazarze:

„Dr. Antonio de Oliveira Salazar jest obecnie — po upadku Mussoliniego — najstarszym dyktatorem Europy... Jest on katolikiem i profesorem matematyki, z wieloletnią kulturą, a nie balonowym mówcą. Jego walory intelektualne są rzeczywiste, jego zdolności finansowe — niewątpliwe, a jego zasady antydemokratyczne nie są koniunkturalne, ale oparte są na wierze. Jest to solidny człowiek, matematyk polityczny, nie zaś kierujący się intuicją przywódca gangsterów...”

Był on przywódcą kierunku w polityce portugalskiej, dążącego do rządów autorytaryjnych. W r. 1926 został członkiem wojskowego rządu dyktatorskiego. Otrzymał pełnomocnictwa, które zrobiły zef gospodarczego dyktatora Portugalii. Przy pomocy szeregu drastycznych zarządzeń postanowił doprowadzić finanse portugalskie do porządku. Natrafił na silną opozycję parlamentarną. Stopniowo doszedł do przekonania, że program swój potrafi przeprowadzić tylko w tym wypadku, jeśli uda mu się usunąć wszelkie możliwości opozycji konstytucyjnej. W marcu 1933 r. ogłoszono nową konstytucję, w myśl której tylko i wyłącznie partia rządowa mogła przedstawiać kandydatów do Zgromadzenia Narodowego oraz na stanowisko prezydenta.

Sytuacja polityczna zastrzyła się z chwilą zwycięstwa w Hiszpanii Frontu Ludowego: „Salazar uznał za rzecz konieczną stworzenie broni wykonawczej, któraby zapewniła wykonywanie postanowień rządu oraz zachowanie dyscypliny w kraju. Inaczej niż Hitler czy Mussolini, w gruncie rzeczy nie lubił on nieobliczalnych ruchów masowych, takich jak Faszyści czy oddziały szturmowe. Zamiast tego zorganizował on system polityczny, sprawujący ogólny nadzór wewnętrzny nad wszelkimi objawami niezadowolenia i opozycji...”

Z chwilą wybuchu hiszpańskiej wojny domowej Salazar otwarcie opowiedział się po stronie gen. Franco i energicznie go popierał. Zerwał on stosunki dyplomatyczne z Czechosłowacją, dlatego iż rząd czeski dostarczał republikanom hiszpańskim broni. Franco wielokrotnie zasięgał jego rad.

„Z chwilą wzrostu potęgi nazistowskiej w Europie i opanowania przez nią kontynentu Portugalii stała się rodzajem wysunięty placówki w Europie i Niemcy kwapili się już do faktycznego objęcia władzy. Sądzili oni — i to zdaniem wielu obserwatorów słusznie — że dr. Salazar był w

równym mierze więzieniem tego wielkiego państwa policyjnego, jakie stworzył, jak i jego panem. Zależał od niego tak samo, jak rząd demokratyczny zależy od swojej większości, i dlatego Niemcy raczej zlekceważyli dyktatora portugalskiego i skoncentrowali swoje wysiłki na zyskaniu jak największego poparcia u wysokich urzędników jego policji.

Przez długie okresy w czasie tej wojny Salazar milczał. Ale w czerwcu ub. r. złożył swoje ostatnie wielkie oświadczenie w sprawach politycznych... Obawiał się, iż Wielka Brytania mogłaby upierać się przy zwycięstwie ideologicznym, co znowu mogłoby być zachętą „dla wyobraźni niezdyscyplinowanych i fantastycznych reformatorów”. Zamykał on swoje przemówienie ostrzeżeniem, iż „jeśli czego można dowiedzieć zapomocą doświadczenia, to faktu, że demokracja i liberalizm przeżyły się”.

„Usprawiedliwia on wzrost ustrojów faszystowskich, mówiąc, że „jedynie Anglia nie może zrozumieć, iż pojawianie się tych ustrojów, może tu i tam zmniejszać naprawdę pewne dogodności, ale że zasadniczo nie były one antybrytyjskie”.

„W ostatnich miesiącach Salazar ma do czynienia z coraz większym niezadowoleniem gospodarczym i niepokojem wśród klas uboższych. Miały miejsce strajki i demonstracje, skierowane przeciwko rządowi. Salazar zwalczał je z wielką energią i bezwzględnością. Coraz więcej jest oznak wstępującej niepopularności jego rządu wśród mas ludowych. Ale decyzyjnie, jakie powziął, aby pozwolić Sprzymierzonym na korzystanie z Azorów, będą bardzo dobrze przyjęte, ponieważ portugalska opinia publiczna nigdy nie wahała się, jeśli idzie o sprawę czy to Sprzymierzonych, czy demokracji”.

Kryzys w Argentynie

Obszerny artykuł poświęca omówieniu sytuacji argentyńskiej, a z nią południowo-amerykańskiej w ogóle, londyński „The Economist” w numerze z dn. 5 listopada ub. r.

Do niedawna — tłumaczy autor — stosunki gospodarcze krajów południowo-amerykańskich ze Stanami Zjednoczonymi i z Europą były dużo żywsze niż ich stosunki między sobą. Na przeszkodzie stał tu przede wszystkim brak dobrych dróg wewnętrznej komunikacji. Sytuacja ta w znacznej mierze zmieniła się wskutek przedwojennego kryzysu i obecnej wojny. Z koniunktury wojennej korzysta jednak przede wszystkim Brazylia i inne państwa, leżące w dolinie Amazonki: Boliwia i Peru. W Stanach jest wielkie zapotrzebowanie na kauczuk brazylijski, Brazylia dostala dużą pożyczkę od Stanów, rozbudowuje się okrąg przemysłowy Sao Paulo, zbudowano linie kolejową, łączącą Brazylię z Boliwią, armia brazylijska otrzymała nowoczesne amerykańskie wyposażenie.

Całą tę wysoką koniunkturę wojenną zawdzięcza Brazylia swym decyzjom politycznym: zerwaniu z państwami Osi i przystąpieniu do wojny po stronie Sprzymierzonych. Argentyński reżim Castilla na decyzję tę nie mógł się zdobyć: „Zgodzić się na pomoc amerykańską i na całą politykę Rio, — politykę zerwania stosunków z Osią, — znaczyłoby ponieść klęskę moralną, której rozdzielenie nacjonalistów argentyńskich nie mogłoby strawić”.

Zdawało się na moment, że sytuacja ulegnie zmianie, kiedy w czerwcu ub. r. zamach stanu grupy generałów z Ramirezem na czele usunął Castilla od władzy. Argentyna nawiązała wówczas rokowania ze Stanami Zjednoczonymi. Rokowania te zostały jednak wkrótce zerwane, a rząd Ramirezę poszedł na politykę utrzymywania dobrych stosunków z państwami Osi na zewnątrz, a rządów autorytaryjnych — na wewnątrz.

Rządy Ramirezę zabrnęły w ślepią uliczkę: „Wszystkie odpowiedzialne elementy w Argentynie albo nigdy nie dawały im poparcia, albo też cofnęły je obecnie. Ogólne nastawienie opinii publicznej jest wrogo generałom i będzie coraz bardziej wrogo z każdą nową klęską totalitaryzmu w świecie. Fala zwycięstw obróciła się wszędzie w świecie przeciwko faszyzmowi. Obróci się również i w samej Argentynie”.

KRONIKA POLSKA

skiego „The Importance of The Polish East Provinces for The Polish Republic”.

— Zapowiedziano wydanie w języku angielskim następujących polskich książek: Porucznik Herberta „The Polish Air Force”. Ksawerę Pruszyńskiego „Night at the Kremlin”, S. Strumpha-Wojtkiewicza „The Patrol”.

— Listopadowy zeszyt nowojorskiego miesięcznika „Harper's Magazine” przynosi artykuł Mosesa Smitha „Rodzinski comes to New York”.

— Nakładem Farrara i Reinharta wyszedł tomt dwudziesty biografii wyznańców „The Torch of Freedom”. Znajdujemy tam biografie Kościuszki, płora Józefa Wittlina.

JADWIGA CZECHOWICZ

POZWÓL MI WRÓCIĆ

wiersze

Rosja 1940 — Palestyna 1943

Nakładem

Wydawnictwa „W Drodze”

Cena: 125 milsów na papierze zwykłym, 200 milsów na lepszym papierze.

Wydawca: Ignacy Pokrywa

Redaktor: St. A. Balicki

Drukarnia: The Jerusalem Press Ltd.

Adres Redakcji: Polish Information Centre

Jerusalem, Bezalel Street, House Valero

— Książnica Polska w Glasgow wydała w przekładzie J. Sapiehy broszurę dra W. Wielhor-